POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — WEEKLY FOR THE POLISH FORCES — PRICE TWOPENCE

Wychodzi co tydzień. *Dnia 14-go czerwca 1941r.* **Rok III. Nr. 24**

WOJSKO I NARÓD

Nie tyle z świadomego zamysłu, ile z samej gry zdarzeń, z przeplatania się przeszłości dalszej i bliższej z teraźniejszością—wynikło, że niniejszy numer "Polski Walczącej" jest prawie całkowicie poświęcony wczorajszym, dzisiejszym i—jutrzejszym formacjom wojska polskiego, walczącego na obcych ziemiach o ziemię własną. Wydało się nam słuszne wysunąć na przód tego numeru artykuł z 2-go zeszytu czasopisma Brygady Karpackiej, "Nasze Drogi," zamykający te wszystkie wspomnienia, planowania i nakazy jedną klamrą. Przedruk artykułu z czasopisma bratniej jednostki, która znajduje się blisko nowego frontu wojny—chce wyrazić, stosowanym już tutaj zwyczajem, prostą prawdę, że nas wszystkich, którzy walczyli, walczą i będą walczyć nic nie dzieli, a łączy wszystko. Łączy nas—droga do kraju.

Red.

Nasze drogi—to drogi żołnierza polskiego w światowej zawierusze! Półtora roku mija od momentu chwycenia za oręż. Okres to czasu dostatecznie duży, by spojrzeć poza siebie, na szlaki przebyte i czas najwyższy, by spojrzeć w przyszłość, na te drogi, którymi nam jeszcze przejść wypadnie oraz te zadania, jakie jeszcze spełnić musimy.

Rozważając pod tym kątem widzenia wypadki — stwierdzić musimy, że kampania wrześniowa była koniecznością dziejową. Polska uczyniła wszystko, żeby uniknąć wojny; nie chciała konfliktu zbrojnego. Lecz zawsze twierdzić należy, że w dziejach Narodu Polskiego nie było dotychczas momentu, w którym byłby on tak jednolity w poglądach co do konieczności walki zbrojnej w obronie swego bytu, jak to miało miejsce we wrześniu 1939 r. Z nastroju tego wyrósł duch wojska. Patrząc zaś poza siebie, na drogę już przebytą możemy powiedzieć sobie z dumą, jaka przystoi obywatelowi, który spełnił swój obowiązek, że w kampanii wrześniowej żołnierz polski nie zawiódł zaufania Narodu, broniąc swego Kraju do kresu sił i rozporządzalnych środków.

Mimo naszej niższości w przygotowaniu technicznym i politycznego zaskoczenia, zdobywaliśmy się na co raz większą siłę oporu. Uderzenie z tyłu drugiego, odwiecznego wroga Polski—zdecydowało tymczasowo o walce i odebrało możność dalszej koncentracji wojsk w granicach własnego kraju. To zadecydowało o tym, że duża część Polski Walczącej, w tym i my, przekroczyliśmy granicę dla koncentracji na obcym terytorium.

Czy było inne wyjście? Niewątpliwie nie. Stan faktyczny, jaki zastaliśmy już w toku kampanii wrześniowej, stwierdzał, że Naród Polski musi stoczyć walkę o swoje „być lub nie być", o swoje życie. Niemcy z całym wyrafinowaniem i brutalnością ogłosiły i czynami swoimi stwierdziły, że prowadzą walkę, nie tylko z Państwem, ale i z Narodem Polskim, który chcą zniszczyć wbrew tym regułom, do jakich na mocy międzynarodowych praw i układów przywykliśmy i uznawaliśmy za dopuszczalne. Nie czego innego już wówczas należało się spodziewać ze strony drugiego wroga. Jasne było, że na własnym terytorium, w uścisku dwóch wrogich bloków nieprzyjacielskich, żadna akcja podjęta być nie może i że we własnym kraju pozostaje nam żołnierzom—albo zginąć, lub też poddać się.

Problem zatem, jaki musiał rozwiązać żołnierz polski we wrześniu 1939 r. nie tylko z uwagi na otrzymany rozkaz ale i samodzielnie, a często i samorzutnie—był ten, czy w momencie tym zlikwidować walkę, pozostając w kraju, czy też prowadzić ją dalej, wyzyskując wszelkie możliwości.

Żołnierz polski, syn ziemi swojej, zdecydował się na dalszą walkę, czując, że każde jego wahanie w tym momencie, było by moralnym i politycznym, a może nawet faktycznym wyrokiem śmierci dla Narodu.

Jedyną drogą, jaką miał przed sobą żołnierz polski w obronie resztek sił Narodu polskiego, było przekroczenie granicy.

Żołnierz polski zawsze, w najcięższych dla siebie chwilach, słuchał Ducha Narodu i nigdy nie upodlił się słabością. Nie miał, nie ma i nie będzie miał litości dla wszytkich tych jednostek, które nie wytrzymały próby chwili dziejowej. Dzieło więc dalszej walki było poczęte z Ducha Narodu na dalszą służbę Polsce i to na śmierć i życie. Taki był i jest kategoryczny imperatyw chwili dziejowej dla nas, tak go rozumie polski żołnierz.

Akcja Naczelnego Wodza Armii Polskiej ściśle zespoliła żołnierza polskiego z obozem narodów walczących z nawałą germańską, najpierw z walczącą Francją i Anglią, a później z Imperium Brytyjskim. Czyny wojenne, w tych najcięższych dla żołnierza polskiego momentach walki, bądźto na terenie Francji, w otoczeniu nie zawsze dotrzymujących nam kroku żołnierzy francuskich, czy walki w Norwegii, są niewątpliwie sukcesami nie tylko militarnymi, z których możemy być dumni, ale i sukcesami politycznymi. Stwierdziły one jasno wolę walki i zwycięstwa, naszą dalszą zdolność do tej walki, stwierdziły ponadto, że jesteśmy nieodrodnymi synami swego Narodu, który mimo więzów, jakimi skrępował go wróg—walczy na wszystkich frontach.

Droga zatem, jaką kroczył i kroczy żołnierz polski czy to przez pola Francji czy też przez skały Norwegii, czy wreszcie przez piaski Egiptu, znaczone krwią ks. Sułkowskiego jest drogą jedyną, jaką nam wskazuje instynkt Narodu i żołnierski realizm, oraz zrozumienie sensu toczącej się walki i znajomość jej techniki. Mimo olbrzymich ofiar, mimo przeżycia wielu niezwykle ciężkich chwil, jakie nam przeżyć wypadło przy załamywaniu się ducha wielu narodów pod presją maczugi germańskiej, czy to we Francji, czy Rumunii, czy innych ośrodkach Europy—wysiłki nasze nie poszły na marne. Okazały one światu, że w konflikcie światowym jesteśmy elementem aktywnym i dają nam—Polsce—walory do dyskontowania naszego wkładu do dzieła walki—we właściwym czasie.

Patrząc zatem wstecz, poza siebie, z perspektywy półtorarocznego okresu czasu, wspomagani mądrością, jaką nam dały późniejsze, powrześniowe wypadki w rozwijającej się na terenie światowym akcji wojennej, nie ulegając sugestii wielkich słów, ze spokojem i poczuciem odpowiedzialności żołnierskiej powiedzieć sobie musimy, że droga, którą obraliśmy i którą kroczymy, jest drogą jedyną w walce o Polskę. Idąc tą drogą—spełniamy nie tylko swój żołnierski obowiązek, słuchając rozkazów Wodza, ale spełniamy nasz obywatelski obowiązek Polaka, wyznaczając Polsce nową pozycję w ogólno-światowej konstelacji politycznej. Nie przemówią też do nas argumenty spekulatywnej natury niektórych narodów europejskich, które chowają głowy w piasek w przekonaniu, że to je uchroni od potrzeby współdziałania aktywnego w rozwikłaniu międzynarodowych, zbrojnych konfliktów. Chociaż walka jest w toku i nieznany jest jeszcze jej kres, stwierdzają już dotychczasowe doświadczenia, że wszelka spekulacja zawodzi.

Naród nasz i Żołnierz polski, nie stosują, zgodnie z narodową tradycją, metod handlowych w walce, ani fałszu w polityce.

Warunki walki na terenie obcym, zdala od własnego kraju, nakładają na nas szczególniejszego rodzaju obowiązki, a przede wszystkim obowiązek wyrobienia sobie właściwego poglądu na sytuację, by wytyczyć dalszą drogę i zmobilizować potrzebne siły, do dalszego, może jeszcze dłuższego marszu.

Czy chcemy czy nie chcemy, jesteśmy reprezentacją Polski na światowym teatrze wojny. Prowadzi nas ta sama wola walki powszechnej, która nam towarzyszyła w najcięższych, a najpodnioślejszych chwilach w kraju.

Ścisła łączność z Narodem Polskim w Kraju jest też podstawą naszej akcji. W niczym nie wyjdziemy poza jego wolę, wspierając jego walkę na terenie światowym, sami wspomagani moralnie oporem rodaków w Kraju, podtrzymywanym twardo, mimo najcięższych warunków. Nie wolno nam w żadnym wypadku dopuścić do jakichkolwiekbądź kompromisów psychicznych, któreby tę wolę walki w najdrobniejszym choćby stopniu osłabiały.

Głównym naszym zadaniem dzisiaj jest takie przygotowanie się techniczne, by nie tylko umożliwiło nam ono zwycięski powrót do Kraju, ale stało się podstawą organizacyjną dla dalszej walki w Ojczyźnie.

My, Wojsko Polskie, musimy ponadto tu, na obczyźnie, liczyć się z faktem, że Naród Polski nie włada na swoim terytorium. Funkcje życia narodowego zatem nie odbywają się we właściwej atmosferze. Serce i płuca Narodu czy to w Kraju, czy to na obczyźnie, nie mają swego właściwego powietrza. Życie nasze wymaga skupienia sił wewnętrznych, by nie dopuścić do schorzeń organizmu narodowego. Chwilowy brak własnej ziemi, musi zastąpić ściślejsza niż kiedykolwiek więź wewnętrzna i wojsko musi być opanowane jedną powszechną ideą. Jedną wolą zwycięstwa.

Wojsko musi stworzyć ideowe ramy rozwojowe dla narodu w niewoli, nawiązując do dotychczasowych jego tradycji; niszcząc w psychice swojej wszystko to, co osłabia ducha walki.

Toczy się światowa wojna nie państw tylko, ale i narodów, totalna co do zakresu walki i metod. Naród Polski i my polscy żołnierze musimy być uzbrojeni wewnętrznie i zewnętrznie. Musimy wytworzyć typ psychiczny żołnierza - obywatela, świadomego swej roli nie tylko wtedy, kiedy otrzymuje rozkazy.

Musimy tworzyć nowe wartości moralne, oparte na głęboko odczutej dyscyplinie psychicznej, musimy pamiętać, że mamy wrócić do Narodu z wędrówki żołnierskiej, podniesieni nie tylko aureolą czynów dokonanych na polach bitew, ale z nowymi walorami naszych dusz i serc.

Oto dalszy kierunek naszej *drogi do Polski.*

Wacław Raduski



rys. Marian Walentynowicz

Ś.p. gen. bryg. Franciszek Kleeberg

W ostatnich dniach maja rozgłośnia radiowa w Londynie przyniosła wieść o śmierci gen. bryg. Franciszka KLEEBERGA. Podaną wiadomość uzupełniono garścią wspomnień, wiążących się z życiem tego żołnierza. W miarę jak snuła się opowieść o jego ostatnich czynach, które grały tak poważną rolę w wypadkach kampanii wrześniowej roku 1939 w Polsce, rozbrzmiewały tony "marsza dla generałów." Słuchacze zatopieni w treść słów i dźwięk melodii zapomnieli na malutką chwilkę o rzeczywistości i przenieśli się jakby na jawie, tam daleko. Choć szczęk oręża umilkł, zdławiony przemocą najeźdźcy, można było przez tę krótką chwilkę łudzić się i myśleć, że siedzimy—co prawda na obcej kwaterze—w Polsce niedaleko za frontem, że zmagania trwają, że głos dobywający się z odbiornika radiowego nadawany jest na stacji raszyńskiej. Wiadomość zaś sama jest dość zwyczajna. Jeden z żołnierzy, generał dowodzący, padł rażony pociskiem wroga, a walka trwa dalej. To dźwięki "marsza dla generałów" tak silnie przemawiały i rozbudzały wspomnienia niedawnej przeszłości.

Generał Franciszek KLEEBERG to zdawna dobrze nam znany towarzysz broni. Żołnierz—jak to zwykło się mówić—zawodowy i to z armii zaborczej. Skorzystał on jednak z pierwszej sposobności, by służyć pod sztandarami polskimi i przeniósł się już w roku 1915 w szeregi Legionów Polskich. Gdy dzisiaj patrzymy wstecz na tego rodzaju krok, wydaje się on nam jedynie surogatem myśli i uczuć, jakie ożywiały Polaka z armii zaborczej, który pod nakazem impulsu woli przechodził w szeregi polskie. Popatrzmy jednak oczyma współczesnych. Gdyby naonczas każdy dziesiąty Polak, służący w armii zaborczej, poszedł był tymi śladami ilu trudności uniknięto by w listopadzie 1918 roku, przy tworzeniu armii wskrzeszonego Państwa Polskiego.

O zmarłym słyszano w życiu codziennym świata wojskowego niewiele. Kiedy jednak nazwisko tego człowieka dało się słyszeć mówiono o nim zawsze, jako o dobrym żołnierzu.

W pamiętnym wrześniu losy spraw ludzkich postawiły mnie w szeregach oddziału, wchodzącego w skład jednostek podwładnych gen. KLEEBERGOWI. Pierwsze zetknięcie się nasze miało miejsce 12-go września. Było to w czasie, kiedy inicjatywa działań Niemców doprowadziła do złamania naszego oporu, a szeregi walczących Polaków znajdowały się w pełnym odwrocie. Dowodził on podówczas IX. Korpusem, który po odejściu na front jednostek swego składu, stanowiły liczne i silne Ośrodki Zapasowe.

Fala nacierającego przeciwnika zagrażała wówczas już zdecydowanie terytorium Okręgu IX. Korpusu. Nie można niestety tego powiedzieć, by wszyscy nasi dowódcy rozumieli powagę chwili. Szukano częstokroć rozwiązania wyłonionej sytuacji przez wymyślny "odwrót strategiczny." Generał KLEEBERG—jeden z nielicznych—nie należał do tego rodzaju dowódców. Co więcej podkreślić należy, iż Dca OK. IX. mógł bez trudu, wraz z dowodzonymi oddziałami, wykonać operację "strategicznego odwrotu" w kierunku granicy południowej. Nie tylko, że nie uczynił tego, ale całe jego zachowanie się, wszystkie objawione myśli manewru, oraz cały szereg wydanych rozkazów, słowem jego oblicze było w całości zwrócone ku nacierającemu wrogowi i świadczyło jak dobrze znany jest Dowódcy Grupy Poleskiej obowiązek dobrego żołnierza i właściwy jego charakter. Obcując z gen. KLEEBERGIEM w okolicznościach służby, nabierało się niezachwianego przekonania, iż człowiek ten nigdy nie stanie wobec pytania: "co robić?" Jeżeli przypomnimy sobie, że katechizm żołnierski zawiera liczne i niezawsze dla wszystkich zrozumiałe nakazy, to służąc pod komendą gen. KLEEBERGA, wiedziało się na pewno, iż on zna dobrze i nie wątpi o prawdzie najważniejszego przykazania katechizmu żołnierskiego. Pozwolę sobie przypomnieć je tu: "W okolicznościach niejasnych i wątpliwych rozwiązuje żołnierz wyłonione zagadnienia walcząc."

Uszykowanie Grupy Poleskiej posiadało olbrzymi front, który przeniesiony od tej pozycji na zachód rozciągnąłby się od Brześcia n/B. po Skierniewice. Dowódca Grupy Poleskiej umiał nie tylko właściwie i celowo rozdzielić posiadane siły i środki, ale znał również dokładnie zespół podwładnych mu dowódców i wojsk na poszczególnych częściach frontu, znał położenie i potrzeby, w końcu nieobce mu były braki i właściwości ludzkie. Wszystko to rzeczy, które dobre zwyczaje wojskowe lubią widzieć u dowódcy wysokiego szczebla. Generał Kleeberg należał do tych zwierzchników wojskowych, którzy posiadają te sprawności w istocie.

Orientował się on dokładnie w całości dowodzenia i sprostał był wyłaniającym się trudnościom. Dziwnym jednak wprost było, iż przy tym wszystkim znajdował czas, by interesować się sprawami drobnymi, wyłaniającymi się na horyzoncie wypadków. Miało to zaś miejsce zawsze tam, gdzie sprawy drobne kryły w sobie zarodek niepowodzenia, lub mogły oddziaływać ujemnie na bieg całości. Widział poważne następstwa, mogące wyniknąć z rzeczy pozornie drobnych.

Niewielu spotkałem dowódców, rozumiejących, że na nic nie przyda się posłuch najlepiej zdyscyplinowanego żołnierza, jeżeli nie równoważy go ze strony przełożonego sumienna lojalność. Gen. Franciszek Kleeberg był dla mnie zawsze wzorem żołnierza znającego tę prawdę. Interesował się losem i potrzebami podwładnych, zarówno tymi koniecznymi dla ulżenia trudu w walce, jak też i tymi prywatnymi, a raczej osobistymi, gwarantującymi równowagę ducha i pogodę myśli w czasie rozstroju, jaki sprowadza ze sobą pożoga wojny.

W charakterze dowódcy Grupy Poleskiej działał gen. Kleeberg w warunkach osobliwych. Bez zaplecza, ze szczątkami urządzeń tyłowych, nie posiadając właściwie nad sobą przełożonego Naczelnego Wodza, był nieustannie postawiony wobec konieczności pobierania decyzji zasadniczych. Dwa miał w tym względzie punkty oparcia: znajomość katechizmu dobrego żołnierza i własny charakter. Otrzymał wyraźny rozkaz marszu do Rumunii lub na Węgry. W położeniu wyjściowym skąd podjęto ten marsz, nie było widoków na inne możliwości. Niebawem pokazuje się jednak, że drogę na zachód zagradzają niewielkie tylko siły niemieckie, a Warszawa krwawi się w morderczych zapasach. Pójść na huk dział, zsumować wysiłki walczących, stanąć w szeregu zdecydowanych, oto rozstrzygnięcie generała Franciszka Kleeberga. Pokusa przejścia na Węgry, zrazu na byt spokojny, omijając grozę nierównych zmagań z przeważającymi siłami przeciwnika, nie zwiodła go z drogi.

Co więcej, w dniu 28. września, kiedy na ziemiach polskich walczyli jedynie już osamotnieni i odosobnieni szaleńcy, reorganizuje całą Grupę Poleską jej niezłomny dowódca. Przyciąga nadto do siebie inne samopas chodzące wielkie jednostki, jak to miało miejsce z Suwalską Brygadą Kawalerii i podnosi w ten sposób wartość całości dowodzonych sił. Nie będę tu wspominał nawet o tym, że żołnierze rozpierzchli z rozmaitych rozproszonych oddziałów, a nawet zbiegli z niewoli, chętnie powracali do kompanii i baterii w jednostkach Grupy Poleskiej, dając tym dowód, iż tu można było czuć się znowu żołnierzem całą duszą.

Bitwa pod Kockiem znajduje swe miejsce w historii, jej przebieg i znaczenie nie dadzą się tu nakreślić. Zostanie ona po wsze czasy dowodem, że generał Franciszek KLEEBERG był równie dobrym dowódcą pośród szczęku oręża. Bił się dla wyraźnych i zdecydowanych celów, widok krwi żołnierskiej nie przerażał go grozą swojej wymowy. Umiał on też rozpoznać chwilę, w której cel walkł został osiągnięty, kiedy ofiara życia staje się już zbędną. To też nawet decyzja złożenia broni, podjęta przez Dcę Grupy Poleskiej we właściwym momencie, była postanowieniem na miejscu.

Życie ludzkie w zrozumieniu społecznym spaja ludzi ze sobą nader silnymi węzłami. Żadne węzły na świecie nie kojarzą tak silnie ludzi ze sobą jak żołnierska dola. Węzły te, a raczej zrozumienie ich treści, sięga niekiedy poprzez zapory drutów kolczastych stron walczących. Tym bardziej działa to prawo w zespole żołnierzy zszeregowanych ramię przy ramieniu dla tej samej sprawy. Śmierć generała Franciszka KLEEBERGA porwała Go brutalną przemocą z pośród naszego grona. Kiedy był w niewoli niemieckiej liczyliśmy na to, że po przewaleniu się obecnej zawieruchy wojennej, zobaczymy się niechybnie w Polsce. Zmarł generał Franciszek KLEEBERG, teraz wiemy już napewno gdzie się zobaczymy. Będzie to tam dokąd wielu z nas niebawen zaprowadzą niezmienne prawa wojny.

Kto wyniesie całą głowę z burzy rozszalałych wypadków, zobaczy jeszcze przedtem uroczysty pogrzeb generała Franciszka KLEEBERGA w Warszawie. Usłyszy wówczas znowu dźwięki "marsza dla generałów" i zrozumie bez wątpienia, jaka zachodzi różnica w sprawach ludzkich, pomiędzy poważnymi zjawiskami istotnymi, a między zbrodniczym szaleństwem najeźdźców.

Tadeusz Śmigielski

ROZKAZ NACZELNEGO WODZA

Wojsko Polskie poniosło bolesną i niepowetowaną stratę przez zgon w niewoli niemieckiej Generała Brygady Franciszka KLEEBERGA.

W pierwszych dniach września 1939 roku Generał Franciszek KLEEBERG zorganizował w Brześciu z ośrodków swojego Korpusu, jednostek KOP' u oraz Flotylli Pińskiej samodzielną grupę operacyjną pod nazwą grupa "Polesie" i na czele tej grupy stoczył ostatnią bitwę regularną z Niemcami.

Na czele tej grupy Generał brygady KLEEBERG rozpoczął po 17 września 1939 r. marsz ku Warszawie, przebijając się w bohaterskich bojach przez oddziały niemieckie i bolszewickie. Dowodząc znakomicie swoimi oddziałami sforsował on 29 września przeprawę przez Bug pod Włodawą i Grabowem. Dotarł następnie w rejon Kocka, gdzie stoczył ostatnią wielką bitwę tej kampanii. Pomimo przewagi druzgocącej wroga Generał KLEEBERG bił się do ostatniego naboju i do ostatniego pocisku.

Z pola bitwy pod Kockiem meldował mi do Paryża, że musiał poniechać walki dla braku amunicji i środków opatrunkowych. Tę jego wolę niezłomną, umiłowanie sławy i honoru żołnierskiego uszanowali nawet wrogowie. Pozostanie ona na zawsze dla nas wzorem, jak wypełniać mamy swój twardy obowiązek żołnierski.

Rozkaz powyższy odczytać przed frontem oddziałów i na pokładach okrętów R.P.

NACZELNY WÓDZ—SIKORSKI, GENERAŁ BRONI.

Londyn, dnia 30 maja 1941 r.

Bitwa pod Kockiem

Wojna niemiecko-polska nie skończyła się—jak chciał Hitler—w 18 dni, ani nawet upadkiem Warszawy, ale dopiero 5 października pod Kockiem. Zakończyła się nie klęską naszą, ale—jakby dla wróżby na przyszłość—klęską niemiecką. Tylko zupełny brak amunicji, która nam całkowicie wyszła w 3-dniowej bitwie pod Kockiem sprawił, że wojna nie trwała jeszcze dłużej.

Na przekór wszystkim bajkom, chodzącym o żołnierzu polskim po Kraju, żołnierz z pod Kocka chciał się bić dalej i nie chciał składać broni. I biłby się dalej. Miał wodza, któremu wierzył, miał oficera, który nie opuszczał żołnierza, miał w swej długiej drodze z pod Kobrynia, przez Ratno, Włodawę pod Dęblin same sukcesy. Bił Niemca, bolszewika, zbuntowane, uzbrojone po uszy wsie Kowelskie i bił znowu Niemca.

Epopea żołnierska nasza zakończyła się pod Kockiem 5.X.1939.r., trwała od 10. 1X. 1939. Szliśmy jednak do niewoli, nigdy przez nikogo nie pobici. Niemcom na zakończenie wojny z nami pozostał posmak, nie zdobytej Warszawy i Modlina, ale przegranej pod Kockiem. Świadczyły o tym rozbite wszystkie wozy pancerne 13 dyw. zmotoryzowanej, wybite z naszych c.k.m. obsługi baterii niemieckich, masowe groby żołnierzy niemieckich i rozkaz do odwrotu, wydany przez dowódców niemieckich swym oddziałom pod wieczór dnia 4. X. 1939., wymuszony bagnetem i ogniem piechoty dywizji "Kobryń."

Artyleria nasza nie miała już czem strzelać, ale Niemcy o tym nie wiedzieli, czuli zaś na swych plecach ogień c.k.m. i działonów art. piech. 83. p.p.

Gdy przeciwnatarcie niemieckie jest w pełni energii milkną nagle nasze haubice: oddały swe ostatnie pociski. Pozostają tylko 75 mm. armaty przy pułkach piechoty.

Z północy dochodzi coraz wyraźniejszy odgłos walki: słychać ją wewnątrz lasu. Słychać jednak też okrzyk szturmowy batalionu II/83.pp. i strzały działowe: strzela artyleria towarzysząca 83 pp.

Niemcy nie lubili walki wręcz, nie wytrzymali też natarcia batalionu na bagnety. Zaczęli się szybko wycofywać z lasu, z naszymi strzelcami na piętach.

Niemal równocześnie przychodzi meldunek telefoniczny od 1/83. pp. Triumfalnie brzmią w telefonie słowa:—jesteśmy na tyłach npla—Niemcy rzucają rynsztunek i cofają się w popłochu.

Kryzys bitwy przeszedł, bitwa była wygrana.

Nagle zamilkły strzały artylerii niemieckiej. Zamarł ruch piechoty niemieckiej przed 84.pp.

Do dowództwa dywizji przyprowadzono nowych jeńców niemieckich. Nad naszymi oddziałami pojawił się pierwszy samolot niemiecki. Był to nasz, zdobyczny R.W.D. z lotniska w Dęblinie. Latał nad stanowiskami 84. pp. i zrzucał ulotki. Przywitały go nasze c.k.m.'y i szybko spędziły z nad pola walki.

Ulotki spadały na ciemniejące już pola w zmroku zapadającego dnia. Były pisane po polsku i adresowane do polskich oddziałów.

—"Uznajemy wasze męstwo i miłość Ojczyzny. Zaprzestańcie walki. Jesteście sami w Polsce. Niemcy szanują swych jeńców i zapewniają rycerskie traktowanie w niewoli".—

Taka była treść ulotek. O tym, że jesteśmy sami—wiedzieliśmy. O tym, że Niemcy nie szanują swych jeńców i mają dziwne pojęcie o rycerskości—mieliśmy się przekonać już niedługo.

Na razie nie przypuszczaliśmy nawet tej ostateczności. Byliśmy oburzeni na to, że bity, cofający się nieprzyjaciel wzywa nas do zaprzestania walki.

Niemcy próbowali zaatakować ducha skrwawionego żołnierza, który schylał się, by zebrać ostateczne owoce swego zwycięstwa.

Nikt z nas nie przypuszczał, że za chwilę uderzy w nas wiadomość, nie tylko o końcu walki, ale o końcu żołnierza polskiego 1939 roku.

Bitwa pod Kockiem naprawdę się skończyła.

Drogą koło gajówki Ofiara jechały poleskie wozy z rannymi. Na jednym z nich leżał młody chłopak, podchorąży. Kątem ust ściekała mu krew: był śmiertelnie ranny w plecy odłamkiem granatu. Chłopak uśmiechnął się, jak się uśmiechali niemal wszyscy ranni nasi żołnierze, gdy się z nimi rozmawiało , i powiedział z trudem: "Panie pułkowniku, zwyciężyliśmy".

Zwożonych zabitych składano przy gajówce. Przy starym pamiątkowym krzyżu kopali strzelcy mogiły. Legli w nich wśród innych, mjr. Bartula dca baonu 79. pp., oficer baterii stojącej przy gajówce, strzelcy i kanonierzy.

Wszyscy dochowali sobie wierności do końca.

Samodzielna Grupa Oper. składa broń. Zabrakło nam amunicji do dalszej walki. Niektóre oddziały, koło południa dnia 4 .X. nie miały się czym bić. Pozostawał tylko bagnet.

W dniu 5. X 1939. w godzinach popołudniowych rozpoczęła dywizja "Kobryń" swój ostatni marsz, na punkty składania broni.

W dowód uznania dla męstwa oddziałów dywizji pozwolili Niemcy maszerować oddziałom w szykach zwartych, z bronią, pod dowództwem oficerów. Oddziały niemieckie oddawały nam honory.

Ostatni raz szły pułki dywizji przed swym dowódcą. Żołnierze patrzyli śmiało w oczy dowódcy. Ani on, ani oni nie mieli się czego wstydzić.

Dziwili się Niemcy małym stanom broni w oddziałach /większość sprzętu została zniszczona/. Dziwili się 5 haubicom i kręcili z niedowierzaniem głowami.

Komendant punktu składania broni przekazał dowódcy dywizji "Kobryń" pismo dowódcy 13 dyw. niem. zmot., zezwalające mu na zachowanie broni w niewoli: najwyższe uznanie wroga.

—"Zezwalam dowódcy dywizji pułkownikowi . . . ., składającej honorowo broń, na zachowanie broni w uznaniu bohaterskiej postawy dywizji, dowodzonej przez niego".-

Oficerowie niemieccy podchodzili do nas ze słowami niekłamanego uznania. Jako najwyższy jego wyraz, podkreślali, że biliśmy się "po niemiecku".

Bardzo się skarżyli na naszą nieliczną artylerię: coby było mówili gdyby jej była normalna ilość i nie zabrakło wam amunicji.

Szliśmy do niewoli niepokonani przez nikogo, bo po zwycięskiej walce, wierni sobie wzajemnie, przekonani, że walka się jeszcze nie skończyła.

Adam Kobryński

Prawo postępu

Koniec maja 1941 r. Kończy się dla nas Kurs Wyższej Szkoły Wojennej. Okres intensywnej pracy, okres dużego wysiłku myślowego nad zagadnieniami po części zupełnie nowymi, gdyż odnoszącymi się do nowych metod walki.

Cywilizacja przemysłowa dziś wszechwładnie panująca, wywarła swoje przygniatające piętno tak na okresie pokoju, jak na okresie wojny. Raz jeszcze zmienił się stosunek techniki do człowieka. Z cywilizacji przemysłowej wykształconej pod znakiem walki z czasem i z przestrzenią, wyrósł "Blitzkrieg." Zaszła dla nas potrzeba rozważenia zmian w metodach walki i zapoznania z nimi pewnej grupy oficerów młodszych. Tymi młodszymi oficerami byliśmy my. Każdy z nas pracował metodą, którą uważał za najlepszą, każdy starał się na swój sposób rozgryść piętrzące się przed nim trudności. Kłamstwem jednak byłoby powiedzieć, że praca na kursie pochłonęła całą naszą uwagę, że kurs nasz przestał się interesować światem zewnętrznym. Przeciwnię, bywały dnie, może nawet okresy całe, kiedy wydarzenia wojenne i polityczne bardziej skupiały uwagę naszą, jak bieżące ćwiczenia. Bardziej przejmowaliśmy się kampanią Wavell'a lub oporem Grecji, niż zaopatrzeniem lub ewakuacją na szczeblu zmotoryzowanego korpusu. Trzeba było siłą woli przywoływać się do porządku. Nie mniej bieg wypadków szedł swoim torem z nieubłaganą konsekwencją, potwierdzając przewagę wszelkich koncepcji, opartych o agresywność i o szybkość, o walkę z czasem i z przestrzenią przeciw wszelkim koncepcjom zastoju i defensywy. Ten bieg wypadków wniósł niewątpliwie wiele czynników nowych i wiele potwierdzeń do naszej pracy. Z tych dwóch równoległych procesów—szkolnego i pozaszkolnego—pozostało coś nowego i bardzo cennego, coś co trudno zbadać, a więc, o czym trudno pisać. Chcę jednak wykazać agresywność i w tej dziedzinie, więc śmiało zaatakuję przedmiot.

Panuje dzisiaj cywilizacja przemysłowa, może najmniej panowała w Polsce, ale za to panuje niepodzielnie w Niemczech, na zachodzie Europy, w Stanach Zjednoczonych, w Japonii. Piętno jej ciąży na całym świecie. Podbój świata materialnego, który stanowi cel jedyny grup i jednostek, sprawił, iż zapomniano o świecie duchowym. Panowanie maszyny, co raz to zmieniający się stosunek między techniką a człowiekiem na korzyść techniki, stworzył zupełnie nowe warunki na świecie. Dyktatorzy, rozporządzający tankami, gazami i bombowcami, przestali się bać rewolucji najliczniejszego i najbardziej wrogiego tłumu. Najbardziej bohaterska armia ulec musi, jeśli nie posiada przewagi technicznej. Czyżby się rozpoczęło panowanie maszyny?

Z drugiej strony mówi się często o kryzysie charakterów, o kryzysie moralnym. Francja jest typowym przykładem. Ten kraj katolicki, miał jedynie bardzo luźny związek z religią, związek tradycyjny. Kraj ten moralnie nie wytrzymał pierwszego uderzenia i posiadając drugie z rzędu imperium kolonialne świata, dwie potężne armie w koloniach, ogromną flotę i wielkie bogactwa —skapitulował. Jasne jest, że gdyby Francja była zechciała prowadzić walkę dalej, nie byłoby dziś ani jednego Niemca i ani jednego Włocha w Afryce i Azji Mniejszej, nie byłoby problemu Morza Śródziemnego i bitwa o Atlantyk byłaby prawdopodobnie już zakończona zwycięstwem. Tu zawiniły charaktery, nie maszyny. Co więc decyduje?

Z tego zagadnienia trzeba jakoś wybrnąć. Musimy dojść do jakichś wniosków. Odnoszę wrażenie, że od tych wniosków nie jesteśmy daleko. Cywilizacja przemysłowa zwichnęła równowagę między duchem a materią w samym człowieku. Cywilizacja przemysłowa stworzyła człowiekowi w niespełna 100 lat środowisko sztuczne, nie skrojone na jego miarę. Przeciętny współczesny człowiek, dziecko tej cywilizacji, żyje dziś w warunkach nie odpowiadających jego naturze. Ma mało ruchu, pożywienie z konserw, pracę bezmyślną, łatwy dostęp do wszystkich rozrywek, dzięki rozwojowi medycyny olbrzymia masa słabych ratowana jest corocznie od śmierci, by dojść do rozmnażania się i powiększać jeszcze liczbę słabych. Dochodzimy do kultu słabego i przeciętnego człowieka.

Wśród tryumfów techniki w pokonywaniu czasu i przestrzeni, bólu i trudności, zimna i ciepła, walka o byt, która tak wzmacniała dawnych bojowników, wartości moralne naturalnie się obniżyły. Wielki uczony dzisiejszej doby prof. Carell tak charakteryzuje współczesnego człowieka: czynność jego jest dość duża, skierowana wyłącznie ku praktycznej stronie życia, dużo ignorancji, pewien specyficzny spryt /to co po polsku nazywamy kanciarstwem/, i słabość umysłowa, która sprawia, iż ulega natychmiast wpływowi tego środowiska, w którym się znajduje. Do tego dodać można temperament, zarówno słaby jak nieopanowany. Ot idealny podmiot dla propagandy panów Hitlera, Goebbelsa i spółki.

Te rozważania mniej dotyczą Polski, niż innych narodów świata. Polska mniej korzystała z dobrodziejstw cywilizacji przemysłowej i dlatego nasze społeczeństwo jest bardziej zahartowane, zdolne do większych wyrzeczeń i już to zdołało w obecnym konflikcie wykazać. Nie mniej wpływ epoki i u nas niebezpiecznie się zaznacza, i możemy to stwierdzić także wśród grupy, która się tutaj znajduje.

Od jednostki przejdźmy teraz właśnie do grupy: z obu stron frontu mówi się często o wojnie ideologicznej, o zgniliźnie moralnej tamtej strony i o własnym poziomie etycznym. Jedni ulegają złudzeniu, iż postępem jest narodowy socjalizm, gdyż imponują wyniki. Mamy więc w Europie "Herrenvolk," który kulturalnie nigdy nie przodował, który jest bardzo dzielny jedynie przy potwornej przewadze technicznej, gdy czuje za sobą dziesiątki tysięcy tanków i samolotów, który idzie zawsze na pewnego, a równej walki prawdopodobnie nigdy by nie zaczął. Ten "Herrenvolk" potrafił im podać do wierzenia takie bzdury, jak rasizm, gdy jest sam istnym coctailem różnych plemion, które jeszcze w 600 lat po epoce wędrówek ludów wchłaniały w siebie czysto słowiańskie plemiona. Ludzie ci potrafią popełniać najgorsze zbrodnie, bez poczucia jakiejkolwiek odpowiedzialności, a robią to jedynie dlatego by móc w przyszłości stokroć więcej pasożytować na innych, niż sami zarzucają to tym, z którymi walczą.

Czy to ma być postęp? Nie. Nigdy skrajny materializm, jako cel w połączeniu z zupełną amoralnością nie może być postępem.

Mało co tu trzeba by zmienić, by przejść na związek socjalistycznych republik rad. Punktem wyjścia jest państwo—przedsiębiorca, więc państwo, które jest jedynym pracodawcą. Wszyscy są pracobiorcami. Państwo już nie występuje tu jako instytucja, powołana między innymi do godzenia naturalnych sprzeczności, między pracodawcą a robotnikiem. Państwo, czyli warstwa rządząca, bo nie zapominajmy, że jesteśmy ludźmi, zaczyna traktować swoje społeczeństwo według zasad prawa prywatnego, czyli tak, jak to w epoce kapitalistycznej robili przedsiębiorcy prywatni. Lecz jest tu jedna zasadnicza różnica: w rozpatrywanym przez nas wypadku nie istnieje nadrzędna i obiektywnie działająca instytucja, którąby broniła praw eksploatowanego robotnika. Droga do totalizmu stoi otworem. Oto cała ideologia ZSSR. Związek ten od początku swego istnienia zaprasza wszystkie inne państwa świata, by doń przystąpiły. Nie musimy jednak zapomnieć, że związek ten nie jest w niczym podobny do tych państw świata, które pod wpływem cywilizacji przemysłowej wracają do barbarzyństwa, a to z tego prostego powodu, że związek ten z barbarzyństwa nigdy nie wyszedł. Poza tym, posiada cechę epoki: ta sama amoralność i ten sam materializm.

Pozostaje druga strona frontu —demokracja. Zasada pociągająca: równość jednostek ludzkich co do praw i co do możliwości. Ale przecież są silni i słabi, są wykształceni i analfabeci, są idioci i geniusze. Równość wszystkich wobec prawa? Czy to znaczy, że każdy jest tak samo odpowiedzialny? A druga rzecz—te same uprawnienia dla wszystkich.

Sprowadzać się to może do równych możliwości danych nierównym z natury rzeczy jednostkom ludzkim. W rezultacie zdobywa się władzę lub siłę nabywczą wszystkimi sposobami, które praktycznie okażą się do zastosowania, przy zachowaniu w ręku jak największej ilości szans, że nie zaprowadzą one za kratki. Mamy wiec niekiedy wspólną cechę epoki—materializm i niedostatek skrupułów moralnych.

Raz jeszcze więc trzeba stwierdzić, że epoka, którąśmy przeżyli, i która, daj Boże, zbliża się ku końcowi, czyli ku odrodzeniu ludzkości, opiera się o materializm i o amoralność. To są przyczyny powrotu do barbarzyństwa. Nie mniej nieubłagane prawo postępu sprawi, iż przywrócona zostanie równowaga między duchem a materią. W 1935 roku Carell pisał: "Cywilizacja nie ma na celu postępu nauki i maszyn, lecz postęp człowieka. Do tego postępu dobrnąć musimy nawet za cenę destruktywnej rewolucji." Bezustannie myślę o tym zdaniu, obserwując jak dzisiaj wielki przemysł niszczony jest rękami tych, którzy go stworzyli.

Nie ulega jednak wątpliwości, iż co raz więcej jest po naszej stronie frontu oznak odrodzenia, a co raz więcej z tamtej—oznak skrajnej zgnilizny i ostatecznego upadku. Będziemy jednak mieli prawo do 100%-go optymizmu, gdy będziemy robić wyprawy krzyżowe przeciwko materializmowi, pojętemu jako jedyny i ostateczny cel człowieka.

Dla nas—Polaków—dwie rzeczy stają się w miarę rozwoju wypadków co raz bardziej jasne:

P o p i e r w s z e—Nie narzucanie ludzkości tego czy innego ustroju stanowić może o polepszeniu stosunków między narodami czy jednostkami. Chodzi o to, by przenieść punkt ciężkości wysiłków z zagadnień materialnych na zagadnienia moralne. Chodzi o to, by przestawić się z walki o systemy i ustroje polityczne, na walkę o zdyscyplinowanego moralnie człowieka i to tym bardziej zdyscyplinowanego, im wyższe społecznie stanowisko zajmuje.

P o d r u g i e—Duch polski, oparty o Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, o filozofię Norwida, o ekonomikę Erazma Majewskiego, o koncepcję rycerskości Sienkiewicza, o myśl Wincentego Lutosławskiego i tylu innych—jest jedynym w Europie, który woła od 150 lat o sprawiedliwość, o moralność i o prawdziwą wolność. Zagadnienie odrodzenia świata jest tym samym zagadnieniem, co zagadnienie odrodzenia Polski. Nim tę myśl poprowadzę dalej, chciałbym się rozprawić z pewnymi kontr-argumentami:

1/ Nie chodzi tu o zaszczepienie nam ideologii mesjanizmu i cierpiętnictwa. Nie chcemy być cierpiętnikami, lecz silnymi rycerzami nowego porządku.

2/ Nie chcę twierdzić, że zagadnienia ustrojowe nie są ważne, jednak pierwszym zagadnieniem jest zagadnienie moralne. Najidealniejszy ustrój będzie zawsze zły, gdy u góry będą jednostki moralnie niezdyscyplinowane, a przeciwnie — mniej doskonały ustrój przy zdolności wyrzekania się i traktowania spraw publicznych ponad prywatę przez warstwę rządzącą okaże się w praktyce zupełnie dobry.

W naszym Kraju, który dostarcza obecnie tylu cichych nikomu nieznanych apostołów i męczenników naszej Sprawy—rodzi się siła, która otworzy oczy współczesnego świata na Polskę i na jej wartości kulturalne i duchowe. Nie wolno nam mówić, że walczyliśmy o te wartości, bo to było w naszym interesie. Nie wolno nam odzywać się, iż sprawiedliwość, moralność i wolność to nasza racja stanu, że to dla nas jest koniunktura. Koniunkturą dla nas raczej mogło było być zruszczenie się czy zgermanizowanie, a mieliśmy chyba czas na to od 1772 do chwili obecnej. Hasło "za naszą wolność i waszą" jest najbardziej polskim hasłem ze wszystkich. Stąd jednak płynie szereg wniosków:

Musimy nauczyć się być dumni sami z siebie i pozbyć się raz na zawsze kompleksu niższości w stosunku do innych.

Musimy nauczyć się sądzić sami siebie w stosunku do możliwości, jakie nam były dane. Naród, który po 150 latach niewoli stanął nagle dosłownie z dnia na dzień przed zagadnieniem wyłonienia z siebie ekipy ludzi na miarę wielkiego państwa i temu podołał nie może się dziwić, iż inni, po 1.000-letnim nieprzerwanym rozwoju mogli się nauczyć lepszych rozwiązań i lepszej organizacji w niektórych sprawach, choć nawiasem mówiąc, też robili potworne głupstwa.

Musimy się nauczyć ustosunkowywać się krytycznie do przeszłości ale nie w sensie personalnym, czyli w chęci zniszczenia tego czy innego, lecz by usunąć niekompetentnych i nie popełnić na nowo starych błędów.

Wreszcie—i to najważniejsze—nie zapomnieć nigdy, że Polak Polakowi bratem i że zacząć trzeba, każdy na swoim podwórku, od kształcenia charakteru po linii tego ducha, o którym słusznie mówiłem, że jest duchem polskim: przywrócenie wartości duchowych i moralnych, jako pierwsze, sprawy publiczne nad prywatnymi—jako drugie.

Dla nas nie ma innego celu wojny, jak przez odrodzoną Polskę do odrodzenia świata.

Andrzej Zaremba

Zamknięcie Kursu W.S.W.



Gen. Ingr przemawia na zamknięciu Kursu

W ostatni dzień maja odbyło się w jednej z sal Sztabu Naczelnego Wodza w Londynie zamknięcie Kursu Wyższej Szkoły Wojennej. Była to uroczystość wewnętrzna, bardzo wojskowa—ledwie jeden czy dwa garnitury cywilne odbijały od jednolitej tonacji mundurów— można by powiedzieć: uroczystość ściśle rodzinna, nie mniej jednak wymowna i niepozbawiona głębszego znaczenia. Dwa szczególnie momenty przydawały jej wagi i wyrazu. Jeden—to wiara w przyszłość, planowanie i budowanie przyszłości, bo przecież organizacja tego kursu—kursu oficerów Sztabu Generalnego—na obcej ziemi i w czasie wojny, stanowi akt niezachwianej ufności, że pójdziemy z tej ziemi gościnnej do ziemi własnej, że będziemy walczyli o jej prawo do życia i budowali jej siłę. Drugi wymowny moment tej uroczystości stanowił fakt, że już teraz, już tu na obcej ziemi gościnnej to planowanie i budowanie przyszłości odbywa się wspólnie z narodem i armią Czechosłowacji, z którą łączy nas wola walki wspólnej, wspólnego zgodnego życia i siły zjednoczonej dla jego obrony.

Tę podwójną wymowę święta, które odbyło się w powszedni dzień trwania i pracy, czuwania i walki—podkreśliła obecność Naczelnego Wodza Armii Polskiej gen. Władysława Sikorskiego i Głównodowodzącego Armii Czechosłowackiej gen. Sergieja Ingra.

Na sporą chwilę przed ich przybyciem w sali ozdobionej zbratanymi sztandarami Polski, Czechosłowacji i Wielkiej Brytanii ustawili się słuchacze kursu, pośród których widziało się też oficerów z naramiennikiem "Czechoslovakia," wykładowcy, wśród których był też jeden Czechosłowak. Po przeciwnej stronie, stanowiąc zamknięcie czworoboku, stanęli zaproszeni na tę uroczystość goście. Gdy Naczelny Wódz wraz z Gen. Ingrem wszedł na salę, dyrektor kursu zakomenderował: "baczność," zaczęły trzaskać lampy magnezjowe i terkotać aparat filmowy Eugeniusza Cękalskiego. Dowódca kursu składa krótki, żołnierski meldunek o zakończeniu prac i oddaje w ręce Naczelnego Wodza "garść oficerów, która—jak mówi—musi być uważana jako jeden z podstawowych elementów jego pracy nad realizacją planów i przewidywań dla naszej Rzeczypospolitej."

Centralny punkt uroczystości stanowiło przemówienie gen. Sikorskiego. Podziękowawszy uczestnikom kursu za intensywną pracę, jakiej wymagały wyjątkowe okoliczności, skrócenie dwuletniego studium do kilku miesięcy, oraz ogrom i ilość zagadnień nasuwanych przez toczące się wypadki wojenne, Naczelny Wódz wyraził radość, że "pierwszy raz w historii oficerowie polskiej i czechosłowackiej armii zasiedli na wspólnej ławie szkolnej."

Dalsza część przemówienia formułowała trzy zasadnicze przykazania oficera sztabowego. Pierwsze: to praca nad wykształceniem charakteru: "pamiętajcie —mówił Naczelny Wódz—że opanowanie i skromność to najistotniejsze cechy, których Foch wymagał od dobrego oficera." Drugie—to praca "nad pogłębieniem wiedzy sztabowej i liniowej," pionierstwo "nowych myśli i nowych metod," bo tylko tak można "spełnić zadanie główne oficera sztabowego t.j. przodować innym" I wreszcie ostatnie przykazanie: wiara w zwycięstwo.

Rozwijając ten ostatni punkt Gen. Sikorski dał pogląd na obecną sytuację polityczną i wojskową— jasny i pokrzepiający bo szczery i odważny. Naszym zadaniem, stwierdził, jest utrzymać w ciągu bieżącego roku pozycje militarne i moralne, by w następnym wymierzyć Niemcom cios, którego siła wzbiera, dojrzewa po tej i tamtej stronie Oceanu. Wezwanie do uczczenia jednominutową ciszą pamięci Generała Kleeberga, wzorowego oficera i dowódcy, jednego z wielkich dowódców kampanii wrześniowej—zakończyło tę mowę, która wywarła silne wrażenie na zebranych.

Generał Ingr mówił po czesku— jest to już piękny i słuszny zwyczaj zebrań polsko-czeskich, że mówimy do siebie własnymi, bratnimi, tak bliskimi sobie językami. Podziękował za gościnę oficerów czeskosłowackich na kursie, która jest pierwszym krokiem do współdziałania dwu narodów na terenie wojskowym. "Wierzę—zakończył proste, szczere przemówienie—że lojalna i czynna czechosłowacko-polska współpraca wojskowa da najlepsze wyniki i doprowadzi do nowego, jeszcze sławniejszego Grunwaldu."

Na tym, na krótkiej, swobodnej rozmowie skończyła się uroczystość zamknięcia kursu W.S.W. Wróciliśmy wszyscy do powszedniej pracy z przeświadczeniem, że przez chwilę patrzyliśmy w twarz przyszłości, że zbliżyliśmy się znowu do niej o krok jeden.

Aleksander Janowski

Samodzielny Oddział Murmański

Jakież to odległe czasy! Jakże bardzo przez zawrotny bieg wypadków odsunięte w przeszłość, przebrzmiałe! A mimo to ileż w nich podobieństw z tym, co się dzisiaj dzieje, ileż bezpośrednich, materialnie wprost stwierdzanych związków pomiędzy tym, co było 23 lat temu wstecz a tym, co jest.

Etapem w drodze do Polski była nam Murmańczykom w 1919 r. gościnna Szkocja, etapem w walce o Polskę jest ona dzisiaj; nam Wojsku Polskiemu. A kiedy co pewien czas czytam teraz w prasie wzmianki, że to i premier Churchill chwali postawę żołnierską oddziałów polskich i sprawność bojową naszego lotnictwa i marynarki, że to i odznaczenia angielskie za bojowe zasługi przyznawane są członkon polskich sił zbrojnych, te same przeżywam uczucia radości i dumy, z esprit du corps płynące, jak wówczas kiedy przed frontem batalionu murmańskiego jako jego adiutant odczytywałem teksty depesz generałów Ironside'a i Turner'a, do Naczelnika Państwa i gen. Hallera skierowanych, depesz przyświadczających, że polski oddział murmański to najlepszy żołnierz w ich zgrupowaniach. Tak samo raduje mnie dzisiaj wysokie angielskie odznaczenie na piersiach dowódcy naszej eskadry lotniczej, jak niegdyś cieszyłem się asystując zawieszaniu angielskich krzyżów na piersiach czy to majora Horawskiego, czy to rtm. Glińskiego, czy też por. Ducha i wielu innych.—Myślę więc, że warto poświęcić kilka chwil wspomnieniu tych odległych, już przebrzmiałych czasów, a jednak tak powiązanych z naszym dzisiejszym losem.

Niebywale ożywiła się w drugiej połowie czerwca 1919 r. stacja kolejowa w Koli, jak się to pretensjonalnie nazywało drewnianą budę i kilka wagonów rozmieszczonych na jednej z końcowych mijanek linii kolejowej Zwonka-Murmańsk.

Gdyby nie charakterystyczny pejzaż, głęboko wciętej w ląd wąskiej zatoki, zdawać by się mogło, że znaleźliśmy się nagle nie na dalekiej północy Rosji lecz gdzieś na zapadłej stacyjce w centrum Polski. Dookoła tylko mowa polska. Gdzie niegdzie, jakby wstydliwie, przemykał się rosyjski pracownik kolejowy. Od czasu do czasu tylko pojawiał się khaki mundur oficera czy też szeregowego Królewskiej Armii Angielskiej, która już wówczas interwencyjnym korpusem ekspedycyjnym objęła we władanie jeszcze bez walki aż kędyś pod Soroki sięgając, najżywotniejszy szlak rosyjski ku morzu, linię kolejową z Murmańska na Pietrozawodsk.

Stacją i przyległą osadą Kola zawładnęli Polacy. Z najrozmaitszych i najodleglejszych zakątków Europy tu przyciągnęli w niezachwianej nadziei, że dane im będzie w końcu szczęście o własną, polską walczyć sprawę we własnych polskich oddziałach. Są tu jakby reprezentacje wszystkich polskich formacyj wojskowych, które powołała do życia tocząca się wielka wojna.

Najbardziej nieoczekiwane spotkania stają się tutaj naturalnym, codziennym zjawiskiem. Pamiętam, że kiedy przyszedłem w Koli na wyznaczoną mi kwaterę i zastałem tam już Stanisława Strzetelskiego, znanego dzisiaj publicystę z którym kolejno stykałem się w życiu akademickim we Lwowie, a potem przyglądałem się mu, z pewnym niedowierzaniem, gdy w mundurze austriackiego feldfebla-aspiranta zjawił się w 1918 r. w Kijowie na Rejtarskiej w Ognisku Polskim, wydało mi się to tak prostą i oczywistą sprawą, jakgdyby chodziło o spotkanie na corso we Lwowie. Nie dziwiłem się też, gdy serdecznym uściskiem dłoni witał mnie na tej samej kwaterze ppor. Wolski, b. lotnik rosyjski, mój pilot w konspiracyjnej podróży z Kijowa do Moskwy, z którym rozeszliśmy się w Małym Jarosławcu, nie mogąc we dwóch znaleść luki w bolszewickim systemacie ochrony Moskwy. Trzeba było odtąd iść już pojedyńczo, nie licząc na spotkanie i wzajemne wsparcie.

—Nie dziw przeto, że bardzo szybko gromada polskich ideowych włóczęgów, zebrana w Koli, przeradza się w zwarty, bardzo harmonijny zespół, podstawę Samodzielnego Oddziału Murmańskiego Wojsk Polskich w Północnej Rosji.

Prawno-polityczny fundament temu Oddziałowi dała umowa pod koniec czerwca 1918 r., zawarta przez gen. Hallera z dowódcami angielskiej ekspedycji wojskowej w Murmańsku generałem Poole i admirałem Menard. Przekonani przez gen. Hallera, zarzucili oni pierwotny zamiar wcielenia Polaków do slawo-brytyjskiego legionu, w którym wespół z białymi Rosjanami Polacy mieli stać pod angielską komendą. Uznali zasadę odrębności Oddziału Polskiego, prawa do własnej hierarchii, własnych polskich odznak, organizacji i zaprawy bojowej, opartych na polskich tradycjach. Jakby zapowiedź, w mikroskopijnych wprawdzie lecz wszechstronnych rozmiarach, tych dzisiejszych, wielkich, w państwowych skalach budowanych, umów polsko-brytyjskich.

Kampania bojowa Oddziału Murmańskiego rozpoczyna się już pod koniec lipca 1918 r. od razu w kilku punktach rozległego frontu alianckiego w Północnej Rosji. Dowództwo Oddziału z kompanią strzelecką i kompanią karabinów maszynowych pozostaje w Koli z zadaniem ubezpieczenia tej głównej bazy alianckiej ekspedycji przed możliwością zaatakowania jej przez Niemców lub powolnych im Finów od strony Karelii i Petsamo.

Spokojny to był front.—Zabawą były dla naszych wojaków, którzy proch wielu bitew wielkiej wojny już wąchali, te posterunki na Kolabrigde, lub placówki na wzgórzach zamykających horyzont Zatoki Murmańskiej. A równocześnie bateria oficerska Oddziału Murmańskiego pod konwojem angielskich okrętów wojennych, o kilkaset mil przesunięta na wschód, bierze udział w desancie pod Archangielskiem, a potem w walkach kolumny alianckiej, spychającej bolszewików na południe wzdłuż linii kolejowej Archangielsk-Wołogda. Z baterii polowej o konnym zaprzęgu na kolejową artylerię jest ona zamieniona. Działa ma umieszczone na prowizorycznie umocnionych platformach kolejowych. Pociągi pancerne imitując, zuchwałe czyni wypady na okopy sowieckie, czające się przy torze kolejowym. Mają nasi koledzy z dzisiejszych dyonów pociągów pancernych swojego poprzednika w tego typu współpracy bojowej polsko-angielskiej.

Desant aliancki w Archangielsku zastał tam jeszcze jedną grupę polską. Wiedzieliśmy w Koli, że powinna ona tam być. Niepokoiliśmy się o jej los, my, bateria oficerska, kiedy zbliżaliśmy się do miejsca desantu. Uradowaliśmy się wielce, kiedy w świetnym nastroju, z poczuciem dobrze wykonanej roboty, witała nas ta grupa w porcie, opowiadając z lekceważącym uśmiechem o tuż niemal przed chwilą dokonanej przy jej udziale rewolucji przeciwbolszewickiej, otwierającej drogę do Archangielska oddziałom sprzymierzonym.

Nie zdążono jeszcze przeprowadzić formalności włączenia tej grupy polskiej w skład Oddziału Murmańskiego, a już umundurowaną po angielsku, z polskimi prowizorycznymi odznakami, w doraźnie zaimprowizowanej organizacji bojowej—powiódł ją kpt. Sołodkowski na dźwiński odcinek frontu jako zwiadowczy oddział angielsko-szkockiej kolumny. Aż do pierwszych śniegów tam dotrwał ten dźwiński polski oddział w doskonałym współżyciu z brytyjskim żołnierzem. Uznanie i angielskie odznaczenia bojowe zakończyły jego kampanię.

Równolegle z desantem na Archangielsk pod koniec lipca i w pierwszych dniach sierpnia 1918 r. dokonały oddziały sprzymierzone desantu pod Onegą, miasteczkiem położonym u brzegu Morza Białego nad ujściem rzeki tej samej nazwy. Ten desant wyzwolił z więzienia bolszewickiego i od niechybnie już prawie grożącej śmierci trzecią, najmniej liczną grupę Polaków, ciągnących na północ z myślą o formowaniu wojska polskiego we Francji. I tu, tak jak w Archangielsku, Polacy natychmiast formują mały oddział zwiadowczy, który pod dowództwem majora Horawskiego wzór partyzantki demonstruje Anglikom na przód w tundrach nad Onegą a później na szlaku na Szenkursk.

Tak powstał samodzielny Oddział Murmański. Pod koniec października 1918 r. wszystkie te oddziałki, zaangażowane na linii jak był szeroki front koalicyjny w północnej Rosji, ściągnęły do Archangielska. Rozwiązana została bateria oficerska, ponadliczbowi oficerowie, których ilość sięga do 100, zebrani w osobną grupę przeznaczeni zostali do wyjazdu do formującej się we Francji Armii Hallerowskiej. Wyjeżdżają tam około połowy stycznia 1919 r.

W północnej Rosji pozostało Dowództwo Oddziału Murmańskiego, kompania strzelecka, kompania karabinów maszynowych i oddział zapasowy, z czasem w drugą kompanię strzelecką przeobrażony. Od 15 grudnia 1918 do końcowych dni września 1919 r., z miesięczną tylko przerwą na odpoczynek w kwietniu 1919 r., bierze ten oddział udział w bojowych akcjach korpusu ekspedycyjnego generała Ironside, dzieląc z nim dolę i niedolę.—W najtrudniejsze angażowany sytuacje bojowe, z niebywałą odpornością znosząc i 40-to stopniowe mrozy i plagi chmur komarów w upalne lato nad tundrami się unoszących, niczego nie uronił ten oddział ze sławy żołnierza polskiego, którą mu w spuściźnie pozostawili i Dźwiniacy Sołodkowskiego i Horawski ze swoją garstką i bateria oficerska. Przybyły nowe pochwalne uznania i nowe odznaczenia angielskie, francuskie i o dziwo nawet rosyjskie, przez białych Rosjan udzielone.

W końcu września 1919 r. pod wpływem stanowiska Labour Party zdecydowali się Anglicy wycofać korpus ekspedycyjny z północnej Rosji. Z wszystkimi oznakami uznania dla jego wartości bojowej, został Samodzielny Oddział Murmański wyewakuowany wygodnym statkiem Toloa z Archangielska do Szkocji, skąd miał wrócić do wolnej już Polski.

Edynburg, ten tak chętnie obecnie przez nas odwiedzany, został mu wyznaczony jako miejsce postoju w tym szkockim etapie na drodze do Polski. Koszary na Colintonie, a później hala Olympia Skating były siedzibą kompanii. Oficerowie stanęli kwaterą w Drekhorn Castle. Myślę, że dobre pozostało w Edynburgu wówczas po nas wspomnienie, kiedy po dwumiesięcznym pobycie, w początkach grudnia 1919 r. odpłynęliśmy do Szczecina, by stamtąd przez pokonane już Niemcy dotrzeć do Polski.

Aby w Warszawie zamknęło się koło szlaków murmańskich, stąd się wywodzące i tu doprowadzające.—

Stefan Mayer

Zjazd żołnierzy formacyj wschodnich

W dniu 8 czerwca odbył się w jednym z miast szkockich zjazd b. żołnierzy Polskiej Siły Zbrojnej na Wschodzie z okresu wojny 1914-1918. Zbyt dużo miejsca zajęło by nam szczegółowe sprawozdanie ze zjazdu i rozpisywania się o historii i działaniach wojennych tych samodzielnych jednostek polskiego wojska powstałych na froncie wschodnim wysiłkiem polskiej myśli wolnościowej z chaosu zmagań się całej ówczesnej Europy.

W chwili jednak, gdy daleka od Polski ziemia szkocka daje gościnę wspomnieniom walk wolnościowych, zjazdowi byłych uczestników tych bojów, chociażby w skrócie należy wspomnieć o ludziach i idei, co mogą być przykładem i drogowskazem naszej dzisiejszej walki o jutro Polski.

Znamienny jest fakt, że ci, którzy już wówczas, po stuletniej niewoli narodu polskiego owiani nadzieją zmartwychwstania ojczyzny oddali polskiej sprawie całość swych dążeń i wysiłków, ci właśnie dziś, gdy zaszła wtórna tego potrzeba, niezmordowani w trosce o przyszłość polskich pokoleń znów przewodzą polskiej myśli niepodległościowej i polskim dążeniom zbrojnym.

Zjazd otwiera Generał broni Józef Haller przywitalnym przemówieniem:

"Zagajając dzisiejszy zjazd Żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych na Wschodzie z lat 1914-1918 witam w pierwszym rzędzie Pana Prezydenta Rzeczypospolitej, który, raczył przyjąć protektorat wraz z Naczelnym Wodzem i ten Zjazd uświetnić osobistym swoim udziałem, będąc również ściśle związany z dziejami tych wschodnich formacji, jako Prezes "Naczpol'u" w Piotrogradzie, posiadając zaufanie wszystkich Polaków i jako delegat Rady Regencyjnej, którego jako przedstawiciela Polski witałem uroczyście na Ukrainie w roku 1918, będąc dowódcą II Korpusu.

Pan Prezydent Rzeczypospolitej-niech żyje!

Wdzięczni jesteśmy Naczelnemu Wodzowi za przyjęcie protektoratu i zaszczycenie zjazdu udziałem swego przedstawiciela. Dzisiejsza walka czynna pod Jego dowództwem jest kontynuacją walk na nowo rozpoczętych po prawie półwiekowej przerwie po powstaniu 63-go roku, w latach 1914-1920. Dzisiaj wszystkie formacje bojów o niepodległość znajdują się w szeregach wojsk polskich pod Jego rozkazami, z wiarą w zwycięstwo Polski, wraz z naszymi Aliantami, z Wielką Brytanią na czele.

Generał Broni Władysław Sikorski, Naczelny Wódz—niech żyje!

Dalej słowa powitalne w kierunku gości reprezentantów armii sprzymierzonych, gości honorowych i uczestników zjazdu. Przemówienie swe kończy Generał Haller tymi słowami:

"Cześć poległym w walkach o wolność i niepodległość Narodu.

Cześć poległym i zmarłym wodzom tych formacji, których zjazd się odbywa, w szczególności cześć pamięci ś.p. Generała Dowbora-Muśnickiego.

Myśli najczulsze i westchnienia nasze idą do Ciebie Polsko, gdzie naród nasz pod obcą, wrażą przemocą trwa w walce, nie poddając się. I my, żołnierze wszystkich formacji trwamy i wytrwamy w walce pod rozkazami Naczelnego Wodza Generała Broni Władysława Sikorskiego, niosąc godnie sztandar Orła Białego, z wiarą w pełne zwycięstwo.

Niech żyje Żołnierz Polski!
Niech żyje cały Naród Polski!"

* * *

Dzieje wojsk polskich formujących się na wschodnich frontach Europy podczas rozgrywek minionej Wojny Światowej, to wielka epopea trudu żołnierskiego, pełni poświęcenia nieświadomych jutra żołnierzy idei wskrzeszenia Polski. Gdy się czyta suche relacje o bojach i trudach, o przeciwnościach a wytrwaniu w wierze w świętość sprawy, krzepi się serce każdego Polaka, który nosi mundur i walczy o wolność.

Komitet zjazdu wydał opracowaną zbiorowo księgę historii Polskich Sił Zbrojnych na Wschodzie z lat 1914-1918. "Pamiątka Zjazdu"—taki nosi tytuł to wydawnictwo—mieści w sobie opisy historycznych zdarzeń tworzenia się polskiej siły zbrojnej na wschodzie widzianych oczyma uczestników tych walk. Po ogólnym wprowadzeniu w dzieje inicjatywy i rozwoju polskiej myśli zbrojnej ówczesnego frontu wschodniego—pióra Adama Piotrowskiego, szczegóły każdej z kampanii, dzieje każdej z jednostek opisują w oddzielnych skrótach historycznych: Antoni Bogusławski (Legion Puławski i I Korpus Polski na wschodzie), Teofil Mincer (II Korpus i IV Dywizja Strzelców), Stefan Mayer (Oddziały polskie na Murmaniu), Kazimierz Rumsza (V Dywizja na Syberii) i wreszcie Józef Godlewski (III Korpus). Bogaty to materiał dla historyka walk wolnościowych—cenna pamiątka—księga wskazówek i doświadczeń dla tych, który młodą inicjatywą chcą budować już dziś nową, szczęśliwą Polskę zrodzoną z cierpienia i walki.

"Cechą charakterystyczną żołnierzy polskich sił zbrojnych na wschodzie, cechą wyróżniającą w polskiej rzeczywistości, była skromność i pokora. . . .

. . . cechami żołnierzy z formacji wschodnich były odwaga, męstwo, honor. Tysiące tych, którzy życie swe złożyli w ofierze na ołtarzu ojczyzny, tysiące inwalidów i rannych świadczy najlepiej o tym, czym jest honor i męstwo dla żołnierza. To pewne, że odznak, szlif i stopni nie zdobywali ani drogą protekcji, ani drogą zabiegów osobistych . . . ."

Oto wartości moralne żołnierza wschodnich formacji, streszczone w pięknym kazaniu ks. Kaczyńskiego wygłoszonym podczas Mszy św. odprawianej na intencję zjazdu.

Zjazd przywiódł nam przed oczy przykład bojownika niepodległości sprzed lat. Człowieka, który poświęcił wszystką prywatę dobru ogólnemu. Ludzie co wówczas dźwigali ojczyznę z niczego, nie widzieli perspektyw zaszczytów, zapłaty za swój trud. Częstokroć wizją ich przyszłości była śmierć i zagłada. Trwali jednak w walce o Polskę sprawiedliwą tak, jak dziś trwa na wyznaczonym mu posterunku dobrej woli walki każdy z nas, żołnierzy Polski walczącej.

Kasper Karski

Ukazał się nr. 66 "Wiadomości Polskich" poświęcony w całości Czechosłowacji.

Na numer składają się następujące prace: **Bohus Benes**: Na wspólnym froncie. Uwagi o zadaniach propagandy polsko-czechosłowackiej.— **Jaroslav Cisar**: Masarykowe wodzostwo. — **Victor Fischl**, przełożył **Antoni Słonimski**: Dwa miasta: Praga 15 marca 1939. Warszawa 27 września 1939.—**Grabiec**: Gdy byłem robotnikiem w zakładach Skody... Rozmowa z ministrem Janem Stańczykiem.—**Zbigniew Grabowski**: "To zadanie was, młodych"...—**Eugenjusz Hinterhoff**: 15 marca 1939.—**Tadeusz Kiełpiński**: Powrót do idei jagiellońskiej.- —**Stanisław Kot**: Wolność i niewola Czech w polskiej literaturze politycznej XVI wieku.—**Bogusław Kożusznik**: Uwagi o współpracy polsko-czechosłowackiej. — **Zygmunt Kukulski**: Wielki pedagog czesko-morawski.—**Marja Kuncewiczowa**: Pan X. z Pragi.—**Frantisek Langer**: Trzech pisarzy czeskich. — **Bohuslav Lausman**: Urywki z notatnika dziennikarza.—**Zygmunt Nowakowski**: "Świat wyszedł z formy."—**Adam Pragier**: Związek polsko-czechosłowacki. — **Ksawery Pruszyński**: Rozmowa z Prezydentem Benešem. — **Edward Raczyński**: Co trzeba robić dla osiągnięcia federacji polsko-czechosłowackiej.—**Adam Romer**: Wspomnienia czeskie.—**Juraj Slávik**: Słowacy w ramach współpracy.—**Kazimierz Smogorzewski**: Oby nauka nie poszła w las.—**Florjan Sokołów**: Prorocze słowa Prezydenta Masaryka.—**Stanisław Westfal**: Europa środkowo-wschodnia. Na marginesie rokowań polsko-czechosłowackich.—**Gustav Winter**: Czechosłowacko-polskie stosunki kulturalne.—W "Skarbnicy Polskiej": "Literatura słowiańska" **Adama Mickiewicza** (wykład z dn. 27 grudnia 1842 r.), poemat **Wincentego Pola** "Słowo a sława," fragmenty z "Krzyżaków" **Henryka Sienkiewicza**, wiersz Marji Konopnickiej "Jan Huss."

Cena 6d. 14 stron druku.

W pierwszą rocznicę bitwy o Narvik

Jakże cudną byłaś Bretanio w te dni kwietniowe, czterdziestego roku.

Z Morbihan ponurych okolic, o kolorycie w najstrojniejsze dni pastelowym zaledwie, ubogich jak świtki zgrzebne chouan'ów ruszyła Brygada Podhalańska pokaźnym komunikiem Peugeot'ów nad Atlantyk, do Brestu.

Pozostawiliśmy za sobą amarant wrzosowisk i szarość buńczuczną wieżyc Josselin. Im bliżej morza, tem bujniej i kwietniej witało nas Finistère, oblane posoką słońca, grało już pełnym blaskiem gotyku swych świątyń, kwieciem swych grządek, wstążkami i suto haftowaną bielą strojów tamecznych.

Radość szumiała nam w sercach, tanecznym taktem zdawały się stąpać muły, motory parskały—na dobrą wróżbę.

Brygada Podhalańska jedzie do Norwegii—jedzie na pewno. Będziemy pierwsi — pierwsi, którzy od września. Skończyły się dni narzekania. . . .

Bliskość starcia, którą tak podkreślał pośpiech ostatnich przygotowań narzuciła na kipiący entuzjazm, zimną, jak stal puklerza na pierś wojownika, pokrywę trzeźwości. Broń, sprzęt, całe żołnierskie gospodarstwo stały się nam bliższe i droższe niż hasła.

Teraz nareszcie to nie tylko sen o szpadzie. Oto się ucieleśnił, powstał z marzeń i tęsknot koszarowych, koszmarnych koczkodańskich wieczorów. Stanął przed nami po raz pierwszy nie "pozorowany," ale żywy problem dowodzenia, tego najwspanialszego sprawdzianu żołnierskiego powołania.

Dla trzydziestu sześciu podchorążych "francuskich," wchodzących w skład Brygady, dowódców drużyn lub zastępców dowódców plutonów nadchodził opromieniony wdziękiem podbiegunowej wyprawy norweskiej pierwszy chrzest bojowy. Z najtajniejszych zakątków polskiej rogatej duszy, wychynęła—zaraz brutalnym odruchem woli uderzana w łeb—trema. Nie potrzeba nam było rozkazów podniosłych i dostojnym patosem owianych słów, którymi szczyty hierarchiczne zwykły okraszać żołnierzom ich "posłuszny" trud. Nie potrzeba nam było mówić o zadaniu, honorze odwecie, roli, tradycji. Wiedzieliśmy sami. W większości z nas jeszcze nie zekrzepł ból upokorzeń i smak piołunu na ustach po słowach niejednego hasła lub piosenki.

I dlatego mieli tremę podchorążowie, bo trema jest nierozłączną towarzyszką każdej wielkości. Nie ma jej rzemieślnik, wyrobnik, statysta. Takich nie było wśród nas.

Tam na miejscu już krwawi się Legia, jej legenda ze szczytów Atlasu teraz za koło polarne wybiegła. Nigdy dotychczas polskie znaki królewskie lub sztandary tułacze XIX wieku tak daleko nie zawiodły swych sług. Z prasy wiemy, że Niemcy rzucili do Norwegii wojska na schwał, sławnych strzelców tyrolskich i elitę Luftwaffe. Brygada Podhalańska pokaże co umie.

Niejedną mieliśmy lukę w wyszkoleniu na majdanie w Coetquidan i błotnistej łączce St. Gurval, strzelcy naszych drużyn i plutonów to emigranci z winnic Prowancji i kopalń Pas de Calais, ognia nie widzieli nigdy—podobnie jak i my zresztą—nie polską im była ziemia obiecana dobrobytu, w nastrojach *Front Populaire* uczyli się patrzeć na żołnierską powinność.

Ale jednego nas dobrze nauczył nasz pierwszy dowódca kompanii-kompanii nieodwołalnych cywilów, którym wojsko było obce, ale wojna najgorętszym pragnieniem. Dał nam klucze do tajemnic leadership'u—sztuki kierowania. Nie były to misterne klucze od skarbców podziemnych, ale zwykłej kowalskiej roboty, te od wrót chaty kresowej lub skrzyni drewnianej na chłopski dostatek. Nie naszą bowiem było rolą poranie się z arkanami wojennej sztuki.

Dowodziliśmy garstką zaledwie, ale miała się ona stać w rękach naszych zamkniętym, doskonałym ogniwem. Od pierwszych marszów i bomb w Norwegii podchorążowie z Bretanii potrafili chlubnie spełnić to zadanie. Pierwszy i drugi baon prosto ze statków poszły w góry zluzować francuskich strzelców alpejskich.

Marsz ciężki, każda godzina dłuższa, widno zupełnie pomimo nocy głębokiej, śnieg rozkisły pod szeregiem buciorów, rzadkie karłowate brzózki, jakaś groza idzie od tych zwalisk kamieni koloru żelaza i nieba koloru kamieni.

W Harsztacie, gdzie na gwałt wyładowywano resztę pierwszy przeżywamy dreszcz niespodziewanego głosu artylerii. W środku portu stał brytyjski krążownik Effingham, który potem z rozprutym na skałach podwodnych brzuchem na zawsze już na lofockich fiordach pozostał—przerobiony na pływającą twierdzę przeciwlotniczą. Pierwszy zoczył z za gór wypadający samolot czarnym opatrzony krzyżem i z ośmiu ciężkich dział walił zaraz snopem smugowych pocisków. Aż zakolebały się domki drewniane przedziwnie jaskrawo malowane jak wielkanocne pisanki i wszystkie głowy zadarły się w niebo.

Pierwsza lekcja poszła gładko, zakotłowała się woda w matowym grzmocie ekrazytu, bomby poszły w głębię bezużytecznie. Mieliśmy się jeszcze napatrzyć do syta tych zawodów Junkersów i Heinklów z marynarką Jego Brytyjskiej Mości.

Alianci nie mieli przez pierwsze tygodnie lotniska, z którego by myśliwce mogły startować. Niemcy mieli baz opanowanych w Norwegii pod dostatkiem—panowali w powietrzu prawie bezkarnie. Kontrtorpedowce skoro dostrzegły samolot kluczyły po fiordach jak spłoszony derkacz po litewskiej łące, niesamowite wyczyniając wiraże.

O każdej porze dnia i nocy leciały z góry precyzyjne wiązanki niemieckiej wojennej manufaktury. Od razu starali się wymacać stanowiska Brygady, które wzdłuż górskich grani stalową pętlę ogni na otoczonej w Narwiku niemieckiej załodze zaciskały.

W lot pojęli nasi strzelcy sztukę krycia się przed lotnikiem, każdą rozpadlinę, przesmyk między skałami wyzyskali, zleli się w nieuchwytną dla oka masę terenu. Rozpoczęły się karabinów maszynowych pogadanki pomiędzy stanowiskami stron przeciwnych nieraz o 200 metrów zaledwie od siebie odległymi. Moździerze bryznęły rojem zjadliwych odłamków.

Patrol III baonu wziął pierwszych jeńców, którzy z wodnopłatowca na kutry przesiadłszy, przemykali się ku swoim. Z góry gdzie leżały plutony I półbrygady zbiegła wiadomość o pierwszej daninie krwi, wśród poległych podchorąży Kowalski.

Zakończyła się pierwsza faza przygotowań do uderzenia na Narvik, Brygadzie Podhalańskiej przypadło w udziale wyparcie Niemców z półwyspu Ankenes, przedmieścia narvickiego portu i wzdłuż Beisfiordu odcięcie im odwrotu ku gros ich sił opartych o granicę szwedzką.

W nocy z 27 na 28 maja ruszyło jednocześnie natarcie Podhalan oraz desant Legii Cudzoziemskiej na samo miasto od południa—wszystko wsparte diabelnym ogniem brytyjskich okrętów wojennych. Za chwilę paliło się w kilkunastu miejscach. Narvik uwieńczył się gigantycznym pióropuszem dymu, niezapomniane widowisko gór, wody i ognia, muzyka miła bogom wojny.

Niemcy wzmocnieni zrzuconymi im w przedzień dwoma kompaniami spadochroniarzy bronili się zaciekle. Nie marnowali amunicji. Każdy karabin maszynowy, moździerz i działo pracowały pewnie, doskonale ukryte i zabezpieczone. Jedno z ich dział 77 mm. umocowane na platformie kolejowej wyjeżdżało na krótką chwilę z tunelu kolei wiodącej z Kirruny do Narviku, by zaraz po oddaniu strzału schować się chytrze z powrotem w głębi tunelu i pojawić się niespodziewanie u drugiego wylotu po nową porcję zniszczenia. Długo nie można było go wykryć.

Trupami znaczyła swą drogę Legia, II Baon Podhalański, nim dopadł Ankenesu po kilku godzinach walki poniósł poważne straty. Bagnety i granaty ręczne doszły do głosu. Późnym rankiem 28 maja dymy nad Narvikiem były co raz gęstsze i ujadanie broni maszynowej nie zamilkło.

Niemcy trzymali się twardo—nie dali jednak rady. Pojawienie się Polaków na tyłach pozycji broniących Narvik przypieczętowało ich los. W odwrocie ku granicy szwedzkiej poprzez góry złożyli obfity krwawy okup za Warszawę.

I baon Brygady prąc od wzgórza do wzgórza, wspierany doskonałą robotą baterii francuskiej *Artillerie Coloniale* brał jedno umocnienie po drugim oczyszczając cały brzeg Beisfiordu. Z dwóch barek, na których osaczeni Tyrolczycy chcieli się przeprawić na drugi brzeg pozostały drzazgi i wody fiordu zamknęły się nad ich ładunkiem na zawsze.

Narvik był wzięty.

Pozostało przyprzeć pozostałe wojska niemieckie do granicy szwedzkiej, zniszczenie ich wydawało się tylko sprawą czasu. Rozkazy wyższe nie pozwoliły wyzyskać sukcesu, cały ekspedycyjny korpus aliancki otrzymał rozkazy natychmiastowego załadowania się do Francji.

Nie dało się uratować *la douce France* w pierszym akcie jej tragedii dziejowej, ale Narvik pozostanie na zawsze jeszcze jednym *nec mergitur* oręża Rzeczypospolitej.

Jan Meysztowicz

Po powrocie



Generał Wł. Sikorski przed Radą Narodową

Dnia 8-go maja odbyło się w Londynie, w obecności Prezydenta R.P. i całego Rządu uroczyste posiedzenie Rady Narodowej, na którym Generał Sikorski—Naczelny Wódz i Premier w jednej osobie—złożył sprawozdanie ze swojej podróży do Ameryki. Witał Go serdecznie w gorących, pełnych uznania i czci słowach urzędujący wiceprezes Rady dr. Lieberman, stwierdzając, że "dobrze zasłużył się Ojczyźnie." Z przemówienia Naczelnego Wodza wyjmujemy jeden ustęp:

"*Przed każdym Polakiem, gdziekolwiek się on znajduje, staje dzisiaj dylemat: albo ofiara z mienia i krwi na rzecz Ojczyzny, albo jej zguba ostateczna. Albo przypatrywanie się bierne próbom moralnym i fizycznym zagłady narodu polskiego, albo walka bezwzględna i w pierwszych szeregach demokracji z odwiecznym wrogiem. Oczekiwanie bierne na dalszy rozwój wydarzeń byłoby równoznaczne z obojętnością, któraby skazywała wojsko polskie na ograniczenie go do topniejącej garści rycerzy-tułaczy, nie mających przed sobą przyszłości. Wartość bojowa i moralna tego wojska nie zastąpi liczby. Wie ono, że idzie właściwą, a wytkniętą mu przez historię i naród, drogą. Będziemy walczyć dalej chlubnie i skutecznie. Lecz potrzebuje niezbędnie uzupełnień, jeżeli się ma rozwijać, krzepnąć i rosnąć w siły, pomimo naturalnych w czasie wojny, ubytków w swoich szeregach.*

Obecnie znaleźć je ono może jedynie na drugiej półkuli świata. To też zorganizowanie polskich obozów ćwiczebnych w Kanadzie było rzeczą palącą. Z chwilą ich powstania, każdy młody Polak zastanowi się poważnie czy nie powinien służyć pod znakiem własnym. Przecież w poprzedniej wojnie światowej 15 razy więcej Amerykanów polskiego pochodzenia służyło w armii amerykańskiej, aniżeli w armii Generała Hallera. A jednak jedynie czyny tych ostatnich przeszły do historii jako świadoma i ofiarna służba na rzecz sprawy ojczystej. Tak samo będzie i w przyszłości.

Rząd rozumiejąc i doceniając w pełni wagę tego zagadnienia, zdecydował się poświęcić część posiadanego złota na zorganizowanie werbunku ochotników i obozów wojskowych w Kanadzie. Obok podtrzymania niedostępnego dziś Kraju, jest to cel najważniejszy.

W Kanadzie będą dwa obozy. Jeden, główny i bardzo piękny w prowincji Ontario—w Oven Sun, a drugi w Windsorze, który jest przedmieściem Detroit. Z chwilą dojechania do Kanady kadry żołnierskiej, z Generałem Duchem na czele, w obozach tych rozpocznie się praca. Wierzę, że dostarczą nam one w pierwszej linii uzupełnień, niezbędnych dla tutejszego Korpusu i brygady, będącej w Afryce, oraz dla lotnictwa i marynarki. Wynosić to będzie kilkanaście tysięcy ludzi. I że później powstanie w nich drugi, równie nowocześnie uzbrojony jak pierwszy, korpus wojska polskiego, którego zadania będą nie tylko obronne ale i ofensywne na kontynencie."

W związku ze swoim pobytem wśród Polonii Amerykańskiej Naczelny Wódz wydał następujący rozkaz:

Podróż moja do Stanów Zjednoczonych i Kanady dała wysoce dodatnie wyniki, rokując na przyszłość żywą współpracę Polonii Amerykańskiej dla dobra naszej wspólnej Ojczyzny. Znalazłem wśród nich głębokie zrozumienie zarówno potrzeb Kraju, jak i naszych Sił Zbrojnych oraz entuzjastyczną ocenę roli i znaczenia naszego Wojska, Marynarki i Lotnictwa. Ocena ta jest wynikiem waszej żołnierskiej pracy, patriotyzmu i wytrwałości.

Świadectwem tej oceny oraz ducha Polonii Amerykańskiej jest poniższa depesza, otrzymana przeze mnie od Prezesa Rady Polonii Amerykańskiej w Chicago:

"*3 czerwca*, 1941.

Prosimy zapewnić w naszym imieniu bohaterską Armię, Lotnictwo i Marynarkę Polską, walczącą tak wspaniale za wolność Polski i za wspólne nam ideały demokracji i prawo wolności, że my, 5-o milionowa Polonia Amerykańska uczynimy wszystko co w naszej mocy, dla dobra wspólnej nam świętej Sprawy na każdym polu, gdzie dobro tej Sprawy wymagać będzie.

Świetlik, Rada Polonii Amerykańskiej."

Przeczytać przed frontem oddziałów i na pokładach okrętów.

Naczelny Wódz.

KONKURS

na jednoaktowy utwór sceniczny dla amatorskich teatrów żołnierskich.

Warunki konkursu są następujące:

1. Rodzaj utworu — dramat, komedia, sztuka, farsa, wodewil, — rewia, obrazek sceniczny,

2. —treść związana z życiem żołnierza polskiego. Mogą być urozmaicenia w treści przez zastosowanie wstawek, jak np. piosenki aktualne i t.p.

3. tło—kampania wrześniowa w Polsce, kampania francuska, norweska, okres pobytu wojska polskiego na terenie W. Brytanii, obozy internowanych, Brygada Karpacka,

4. obsada—wyłącznie męska.

Tekst pisany na maszynie lub b. wyraźnie ręcznie, podpisany godłem. Do tekstu należy dołączyć kopertę zamkniętą, na której należy uwidocznić tytuł utworu oraz godło, wewnątrz zaś umieścić kartkę z wyraźnie napisanym godłem, tytułem utworu, imieniem, nazwiskiem i stopniem wojskowym autora, oraz przydziałem, adres pocztowy, służbowy.

Utwory opracowane na konkurs wraz z załącznikami należy nadsyłać do Biuru Prop. i Ośw. do dnia 20 czerwca br. Sąd konkursowy zbierze się w dniu 28 czerwca br. w Biurze Propagandy i Oświaty gdzie odbędzie. się rozstrzygnięcie konkursu.

Wyznaczone zostają 3 nagrody pieniężne, mianowicie: nagroda I—£15. 0. 0.; nagroda II—£10. 0. 0.; nagroda III—£5. 0. 0. Niezależnie od tego sąd konkursowy może wyróżnić zasługujące na to prace.

W skład sądu konkursowego wchodzą: Szef Biura Prop. i Ośw. jako przewodniczący, przedstawicel Biura Prop. i Ośw., przedstawiciel sam. Ref. Prop. i Ośw. D-twa I Korpursu, przedstawiciel Wydz. Kult. Insp. P.S.P.

Biuro Prop. i Ośw. zastrzega sobie prawo ogłoszenia drukiem prac nagrodzonych i wyróżnionych. W tym wypadku autorom przysługują honoraria według norm Biura Prop. i Ośw.

Brygada Karpacka

POCZĄTEK NOWEGO WOJSKA NA BLISKIM WSCHODZIE

W połowie kwietnia 1940 roku poza druty kolczaste do wojskowych obozów na Węgrzech i w Rumunii przedostawać się zaczęła radosna wiadomość o formującej się na Bliskim Wschodzie brygadzie polskiej. Wieść ta podawana z ust do ust rosła, potężniała niemal z dniem każdym. Mówiono już wówczas o Syrii, o gen. Weygandzie i o kawalerii polskiej. Nawet wymieniano nazwiska tych, którzy zdążyli wyjechać z Węgier i przedostać się do Syrii. Opowiadano, że byli i tacy, którzy już z Syrii pisali do swoich znajomych i przyjaciół.

Myśl o stworzeniu na Bliskim Wschodzie polskiej brygady, która przy boku naszej ówczesnej sojuszniczej Francji mogła by się w jej koloniach swobodnie zorganizować i ćwiczyć, powstała w łonie Rządu Polskiego dość wcześnie. Rozkaz Naczelnego Wodza i ministra spraw wojskowych, w sprawie sformowania Brygady Strzelców Karpackich w Syrii nosi datę 2 kwietnia 1940. Na stację zborną wyznaczony był od początku Beyrut, dzięki dogodnemu położeniu i łatwemu dojazdowi z całej Europy. W Beyrucie też urzędowały przez kwiecień, maj i czerwiec dwie polskie komisje wojskowe: ewidencyjna i lekarska. Istniały tu również magazyny mundurowe. Od połowy kwietnia napływać zaczęli do Beyrutu żołnierze i ochotnicy w mniejszych lub większych grupach z Węgier, Rumunii, Jugosławii i Francji. Przyjeżdżali przeważnie statkami z Marsylii, Algieru, Pireusu i ze Splitu, albo koleją przez Bułgarię, Grecję i Turcję.

Przyjętych do Wojska Polskiego w Beyrut odsyłano następnie koleją do formujących się oddziałów wojskowych, które były zakwaterowane w dość dużym miasteczku syryjskim — Homs. Miejscowość ta znajduje się na szlaku kolejowym pomiędzy Beyrutem a Aleppo. Tu żołnierze byli wcielani do poszczególnych formacji, otrzymywali broń francuską i odbywali ćwiczenia. Wojsko było rozkwaterowane w specjalnie wzniesionych barakach, znajdujących się tuż za miastem. Już w pierwszych dniach maja, tworząca się Brygada Strzelców Karpackich w Syrii liczyła dwa, choć nie kompletne jeszcze pułki piechoty, oddział kawalerii, kompanie przeciwpancerną, łączności i baon gospodarczy.

Poszczególne jednostki wojskowe rosły i uzupełniały się niemal z każdym dniem. Element, napływający do brygady, był na ogół bardzo dobry. Od początku też żołnierze odznaczali się karnością i zrozumieniem swej zaszczytnej misji. Głównodowodzący armią Lewantu gen. Weygand określił stosunek do Brygady Strzelców Karpackich następująco:

"Jestem szczęśliwy, że mogę się przyczynić do odtworzenia armii polskiej, z którą łączą mnie głębokie uczucia. We wspólnej walce oswobodzimy kochaną Polskę."

PO KAPITULACJI FRANCUSKIEJ

Niestety dziejowy los chciał inaczej. Klęska Francji wraz z wynikającymi stąd nieuniknionymi następstwami natury politycznej, zmusiła Polskę walczącą do odseparowania się od kapitulującego sojusznika. W dramatycznych okolicznościach rozgrywa się ten rozbrat również na Bliskim Wschodzie. Historia przejścia brygady z Syrii do Palestyny przedstawia się następująco:

Dnia 19 czerwca 1940 wieczorem odbiornik radiowy brygady w Homs podał wiadomość o decyzji rządu francuskiego zawarcia z Niemcami zawieszenia broni. O kroku tym wszyscy dowódcy oddziałów poinformowali szeregowych na apelu wieczornym, podając, że brygada w żadnym wypadku broni nie złoży. Na wiadomość o tym oddziały samorzutnie odśpiewały "Rotę." Dnia 20 czerwca obecny w Homs Brygadier udał się do Beyrutu do dowódcy T.O.M.O. (*Théatre d'Operations de la Mediterranée Orientale*), gen. Mittelhausera, celem omówienia spraw w związku z nowopowstałą sytuacją. Generał upewnił naszego dowódcę, że zawieszenie broni, gdyby nawet było zawarte, nie będzie dotyczyło Bliskiego Wschodu, gdyż: 1) rząd, w którego skład wchodzi gen. Weygand, nie narazi na szwank interesów imperium, 2) nawet w wypadku, gdyby to miało nastąpić, on—gen. Mittelhauser—nigdy nie złoży broni, 3) Brygada polska będzie więc mogła nadal walczyć u boku armii francuskiej ze wspólnym wrogiem.

Późnym wieczorem tegoż dnia radio Ankara podało komunikat w języku francuskim, zawierający między innymi wiadomości o zarządzeniu Naczelnego Wodza Wojsk Polskich gen. Sikorskiego, nakazującym przejście oddziałów polskich pod najwyższe międzysojusznicze dowództwo angielskie. O świcie dnia następnego (21 czerwiec) udał się Brygadier znów do Beyrutu, aby zapytać pułkownika dypl. Larminat'a szefa sztabu T.O.M.O., czy gen. Mittelhauser podtrzymuje nadal swe oświadczenie, złożone w ciągu poprzedniego dnia. Wobec twierdzącej odpowiedzi brygadier zakomunikował francuskiemu pułkownikowi, że na skutek zarządzenia radiowego, podanego przez Naczelnego Wodza W.P. zwraca się do Londynu po instrukcje i wysyła depeszę w tej sprawie za pośrednictwem brytyjskiego oficera łącznikowego przy T.O.M.O. pułkownika Jones'a Salisbury.

Odpowiedź Naczelnego Wodza na depeszę nadeszła w dniu 24 czerwca. Zezwalała ona na pozostanie brygady pod dowództwem francuskim tylko w tym wypadku, jeżeli Francja nie skapituluje. W przeciwnym wypadku brygada ma przejść pod dowództwo brytyjskie.

W związku z otrzymaną odpowiedzią powstała w sztabie brygady nowa koncepcja: przerzucenia Armii Polskiej do graniczącej z Syrią Palestyny. Sprawę tę omawiał Brygadier w sztabie francuskim dnia 25 czerca z kilku oddanymi sobie oficerami francuskimi. Powszechna opinia tych oficerów była, że gdyby taka konieczność zaszła, sztab francuski poczyni brygadzie wszelkie ułatwienia.

DECYZJA WYJŚCIA Z SYRII

Nazajutrz wieczorem jeden z oficerów sztabu francuskiego, kapitan de Graviers zameldował Brygadierowi z polecenia pułk. de Larminata'a, iż sytuacja zmieniła się o tyle, że brygada musi jak najśpieszniej przejść do Palestyny i że sztab T.O.M.O. opracowuje już plan jej transportu koleją z Homs do stacji granicznej Samakh w Palestynie. W myśl tej samej dyspozycji brygada ma otrzymać częściowo w Homs, częściowo po drodze, na różnych stacjach uzupełnienie koni, mułów, samochodów, amunicji, oraz działka przeciwpancerne 25 mm. i sprzęt kompanii czołgów z baonu R.35, stacjonowanego w Homs.

Brygadier zawiadomił telefonicznie szefa sztabu brygady o decyzji przejścia do Palestyny. Nakazał ponadto, aby przy zestawieniu transportów utrzymywano—o ile skład pociągów pozwoli—oddziały zwarte, oraz aby rozdano amunicję i wreszcie zarządził zbrojny opór w wypadku próby rozbrajania oddziałów.

Pierwsze transporty odeszły w dniu 27 czerwca w należytym porządku. Następnego dnia rano major Z . . . zameldował Brygadierowi telefonicznie, że są duże trudności z odbieraniem czołgów, gdyż dowódca baonu francuskiego, major książę Murat żąda rozkazu albo gen. Mittelhausera, albo jego bezpośredniego przełożonego, generała Massiet.

Brygadier udał się natychmiast do dowódcy T.O.M.O. w towarzystwie kpt. de Graviers. W spotkaniu tym uczestniczył również wezwany przez generała Mittelhausera pułkownik de la Villeon. W czasie dramatycznej rozmowy Mittelhauser oświadczył, nie panując nad sobą, w sposób bardzo podniecony, że nie pozwoli armii polskiej przejść do Palestyny.

—"Nie rozumiem—mówił on—dlaczego i jakim prawem brygada chce przejść do Palestyny, skoro Polska nie jest w stanie wojny z Włochami, Brygada powinna pozostać w Syrii, a jeśli chce odejść, to w każdym razie bez broni, która jest własnością Francuzów. Nakażę rozbrojenie brygady polskiej, a pan, panie pułkowniku pozostanie w Beyrucie aż do odejścia z Syrii ostatniego już rozbrojonego transportu, bym miał gwarancję, iż rozkazy moje zostaną przez pana wykonane."

Generał Mittelhauser, wymawiając te słowa, nie wiedział jeszcze, że jego sztab wyposażył bogato brygadę w amunicję i sprzęt wojenny.

Odpowiedź dowódcy brzmiała, że brygada nie da się rozbroić (podkreślone to zostało z naciskiem), że otrzymała wyraźne instrukcje od Naczelnego Wodza, który znajduje się w W. Brytanii, i że wydane już zostały poszczególnym oddziałom odpowiednie rozkazy, w wyniku których może dojść do zbrojnego starcia z Francuzami, co było by największą tragedią Polaków. Brygadier dodał następnie, że formalne i moralne prawo odejście do Palestyny miał już w nocy z 19 na 20 czerwca, lecz tego nie uczynił, aby brygadę nie spotkał zarzut, że w ciężkich dla Francji chwilach opuszcza sojuszniczą armię Lewantu.

Obecny podczas tej rozmowy kpt. de Graviers przypomniał gen. Mittelhauserowi, iż sprzęt należy do Armii Polskiej na podstawie umowy zawartej przez rządy Francji i Polski.

W wyniku długotrwałych dyskusji gen. Mittelhauser zdecydował się cofnąć żądanie całkowitego rozbrojenia, podtrzymując rozkaz natychmiastowego zwrotu przez brygadę działek przeciwpancernych 25 mm. Na oświadczenie brygadiera, że działka te znajdują się już w drodze z oddziałami brygady i że wykonanie tego rozkazu jest bardzo trudne, Mittelhauser wydał ostateczną decyzję, mocą której sprzęt ten miał być zwrócony bezwzględnie na stacji granicznej w Palestynie i że do czasu wydania go nie wolno będzie Brygadierowi opuszczać Beyrutu.

Przy końcu tej dramatycznej rozmowy podszedł do Brygadiera kpt. de Graviers i oświadczył, że płk. de Villeon uległ atakowi nerwowego płaczu, gdy, po wyjściu z gabinetu Mittelhausera uświadomił sobie, że był świadkiem rozmowy dwóch ludzi, z których jeden tylko zachował się jak prawdziwy gentleman i jak przystało na wojskowego. Lecz niestety nie był to ich generał.

Przy ewakuacji z Syrii do Palestyny żołnierz polski wykazał dużo zapału i karności, a sztab z majorem Z . . . na czele, wiele samozaparcia w ciężkiej i odpowiedzialnej pracy.

Jeszcze w dniu 28 czerwca omówił Brygadier z pułk. de la Villeon skład i regulamin komisji mieszanej, która ma się udać do stacji granicznej w Palestynie celem odbioru działek przeciwpancernych. Wszyscy się zgodzili, że komisja wyjedzie dopiero 29 czerwca. W wyznaczonym dniu koło południa Brygadier odbył jeszcze naradę z majorem Thessier, wielkim przyjacielem Polaków, który będąc ożeniony z Polką, przebywał dłuższy czas w Warszawie na stanowisku zastępcy attaché wojskowego ambasady francuskiej. Uradzono, że Thessier przedstawi odpowiednio sprawę generałowi, poparty lojalnym stanowiskiem płk. de Villeon.

Mittelhauser, otrzymawszy od swoich oficerów sztabowych taką informację, wezwał raz jeszcze Brygadiera i już w przyjacielskiej rozmowie oświadczył mu, że bierze na siebie odpowiedzialność za pozostawienie brygadzie sprzętu, że nie wymaga więcej jego zwrotu i że zezwala pułkownikowi na opuszczenie Beyrutu. Z tą chwilą usunięte zostały ostatnie przeszkody przy przejściu brygady z Syrii do Palestyny z uzbrojeniem.

W PALESTYNIE

Wkraczające do Palestyny oddziały polskie witali Anglicy bardzo serdecznie, a dowódca sił zbrojnych Palestyny i Transjordanii, generał-major Goldvin Aster wygłosił z tej okazji następujące przemówienie:

"Żołnierze! Gdy usłyszałem, że zdążacie z francuskiej Syrii, by z zaufaniem połączyć się z naszymi wojskami, poczułem się dumny i szczęśliwy. Uczucia te wzrosły jeszcze, gdy was ujrzałem, gdy przekonałem się o waszej wspaniałej kondycji wojskowej, gdy zobaczyłem waszą twardą postawę żołnierską. Jestem pewny, że wkrótce wraz z naszymi wojskami pójdziecie z właściwą wam odwagą i lojalnością do walki o zwycięstwa, które czekają na nas w przyszłości."

(*Z nr. 6 "Biuletynu Informacyjnego"*)

Prasa polska na Bliskim Wschodzie



Historia polskiej prasy emigracyjnej wzbogaciła się o nowy rozdział, tchnący powiewem dalekiej egzotyki: w Palestynie powstało dość już zróżniczkowane czasopiśmiennictwo polskie. Brygada Strzelców Karpackich i napływ co raz liczniejszej fali uchodźców, z Węgier i Rumunii powołały do życia tę prasę. Obok powielanej codziennej "*Gazetki Obozowej*" pojawiło się kilka numerów dwutygodnika żołnierskiego "*Nasze Drogi*". Obok tych pism czysto wojskowych ukazały się i dwa inne służące polskim uchodźcom wojennym: tygodniowy "*Biuletyn Informacyjny*", będący organem prasowym Komitetu Społecznego dla spraw uchodźców polskich w Palestynie przy konsulacie w Jerozolimie i czysto informacyjny, prywatną imprezą będący, "*Kurierek Codzienny*".

Tak więc likwidacja całkowita niezależnej wolnej prasy polskiej na kontynencie europejskim zrodziła obfitą prasę na obczyźnie. Jej dzieje będą kiedyś dla przyszłego historyka bardzo interesujące: zanotuje on na pewno obok pism źle służących sprawie polskiej, pism partykularnych, zacietrzewionych w dawnych koleinach myślowych, obok pism bladych i anemicznych, także i przykłady pracy rzetelnej, solidnej, tworzonej w ciężkich warunkach, nie tylko z entuzjazmem, ale i z dużą znajomością rzeczy. Historyk ten napewno miejsce poczestne przyzna budapeszteńskim "*Wieściom Polskim*"—może najlepszemu codziennemu pismu emigracji.

Prasę polską na Bliskim Wschodzie znamionuje jasność linii wytycznej życia uchodźczego, położenie dużego nacisku na sprawy kraju, wsłuchanie się w rytm jego walki, silne zainteresowanie dla spraw kulturalnych. Mapa szlaku wędrówek żołnierza polskiego, otwierająca każdy numer "Naszych Dróg" właściwie sama w sobie streszcza wyznanie ideowe żołnierza. Pisma żołnierskie silnie też uwypuklają, że "droga, jaką kroczył i kroczy żołnierz polski czy to przez pola Francji, czy też przez skały Norwegii, czy wreszcie przez piaski Egiptu, znaczone krwią ks. Sułkowskiego jest drogą jedyną, jaką nam wskazuje instynkt Narodu i żołnierski realizm, oraz zrozumienie sensu toczącej się walki i znajomość jej techniki". Autor cytowanych słów, Wacław Raduski słusznie też zauważa w "Naszych Drogach",—że dziś jest tylko "jedna powszechna idea—jedna wola zwycięstwa".

Te same, bardzo pokrewne tony brzmią w artykule pisma cywilnego uchodźstwa, w "*Biuletynie Informacyjnym*", "O aktywną postawę emigracji". Autor słusznie stwierdza, że wyrwanie z atmosfery obozów w państwach neutralnych przeniosło wychodźstwo z terenu "politycznego oportunizmu w państwach neutralnych w szeregi moralnych udziałowców wielkiej rozgrywki". Przeniesienie to da jednak tylko wtedy efekt, o ile emigracja przełamie nastroje histerii, psychozę tymczasowości, zdobędzie się na czynną postawę.

Emigracja na Bliskim Wschodzie zapatrzona jest w życie kraju, łowi skrzętnie wszelkie echa tego życia w jednej jak i drugiej okupacji. Dział spraw krajowych w tych pismach jest postawiony dobrze, uwzględniany obficie. Wsłuchana też jest w wysiłek emigracji angielskiej. Entuzjazmuje się wyczynami lotników, śledzi pracę Rządu, zajmuje się wraz z "Czechoslovakiem v Oriente" zagadnieniem zbliżenia polsko-czeskiego, cieszy się pojawianiem książek polskich.

Emigracja ta próbuje stworzyć zawiązki własnego życia kulturalnego: omawiane pisma, wspomnienie ks. Leona Łomińskiego z wojny polsko-niemieckiej, kaplica SS. Elżbietanek, będąca dziełem plastyka Edwarda Matuszczaka w ostatnio zbudowanym "Domu Polskim", powstała w dużej mierze z ofiar żołnierzy, Szkoła Polska w Tel-Avivie, obejmująca klasy licealne, gimnazjalne oraz odczyty np. Vlastimila Hofmana o Wyspiańskim jako malarzu—wszystkie te fakty świadczą o żywych potrzebach kulturalnych środowiska polskiego na Bliskim Wschodzie.

Że nieraz w tym życiu zabrzmi nuta, aż nazbyt dobrze znana z doby "wychowania państwowego", przez tego samego arcymistrza Janusza Jędrzejewicza tu w Palestynie znowu reprodukowana pod postacią "Akademii ku czci"—to już czynnik uboczny tego życia, będący wynikiem specyficznego składu "emigracji zmotoryzowanej", której cząstka i tu się znalazła. Ale to są echa świata dnia wczorajszego, który tkwi w sprawach i nawykach należących już do przeszłości historycznej. Zaś cała emigracja Bliskiego Wchodu—jak widać doskonale z pism—zapatrzona jest w teraźniejszość, w walkę kraju, w zmagania się Wielkiej Brytanii i żołnierza polskiego. To jest treść jej życia i pism życie to odzwierciedlających.

Adam Ordęga





Doświadczenia inwazji na Kretę

Przebieg krótkiej kampanii na Krecie studiowany jest z wielkim skupieniem przez sztaby obu stron walczących—operacja ta /podobnie jak desant korpusu gen. Rommla w Libii/ daje ogromny materiał doświadczalny dla bardzo cennych wniosków, właśnie jeżeli idzie o metody inwazji z powietrza. Działania na Krecie, a raczej nazwijmy je dokładnie *inwazją* wykazują z jednej strony cały szereg podobieństw taktycznych do metod ewentualnej inwazji W. Brytanii a jednocześnie szereg istotnych różnic.

Jeżeli idzie o podobieństwa, to przede wszystkim należy podkreślić przeważający charakter inwazji lotniczej z całym jej repertuarem, jak użycie spadochroniarzy i transportów powietrznych /w danym wypadku po raz pierwszy zostały użyte na wielką skalę i z dużym powodzeniem szybowce/, inwazja poprzedzona bardzo intensywnym bombardowaniem, niestety jedynego lotniska w Malemme, co zmusiło Anglików do wycofania z Krety samolotów myśliwskich.

Czy ktokolwiek może powątpiewać, że przyszła próba inwazji W. Brytanii nie będzie polegała przede wszystkim na użyciu na wielką skalę bombowców oraz, że będzie ona miała również chakter inwazji lotniczej — niezależnie, oczywiście, od prób desantów morskich. Również nie trzeba udawadniać, że wstępne działania niemieckie, podobnie jak na Krecie będą skierowane na lotniska brytyjskie, aby po ich pochwyceniu móc zapewnić lądowanie transportów powietrznych.

W działaniach na Krecie Niemcy prócz inwazji powietrznej dokonali prób desantów morskich. Dzięki przeciwdziałaniu floty brytyjskiej zostały one zakończone fiaskiem. . . Nie będzie też chyba dowodem nadmiernej imaginacji twierdzenie, że w próbie inwazji W. Brytanii, Niemcy nie ograniczą się jedynie do działań w powietrzu ale, niewątpliwie dokonają też całego szeregu prób desantów morskich—prób na wielką skalę. Koncentracje barek w portach inwazyjnych, od czasu do czasu rozbijane przez R.A.F. oraz koncentracje wojsk niemieckich w rejonach portów i ich ćwiczenia w działaniach desantowych wskazują na to dostatecznie. Ktokolwiek widział wybrzeża W. Brytanii, najeżone pillboxami /gniazda karabinów maszynowych/, drutem kolczastym i t.d. oraz kto brał udział w ćwiczeniach wojsk angielskich, wie równie dobrze jak poważnie jest brany przez Anglików pod uwagę problem niemieckich desantów morskich.

A więc, próba desantu morskiego oraz desanty powietrzne, poprzedzone usilnym bombardowaniem lotniczym — oto wskazówki dostarczone przez kampanię kreteńską co do metod przyszłej próby inwazji W. Brytanii.

Jeżeli idzie o różnice, to najważniejszą, która zaważyła w dużym stopniu na całym przebiegu operacji — był brak samolotów myśliwskich; szczupła obrona przeciwlotnicza, która została szybko zduszona przez bombowce niemieckie nie była w stanie powstrzymać całej lawiny transportowców niemieckich.

Bitwa o W. Brytanię, stoczona jesienią zeszłego roku przez słabe siły R.A.F. przeciwko ogromnej przewadze Luftwaffe wykazała już wówczas znaczenie myśliwców. Bitwa ta, wygrana przez R.A.F., była jedynie wstępną fazą do właściwej inwazji W. Brytanii, była to bitwa o panowanie w powietrzu. Wycofanie myśliwców z Krety zapewniło lotnictwu niemieckiemu bez walki niezbędne dla powodzenia inwazji—panowanie w powietrzu. Interwencja R.A.F., która zadała lotnictwu niemieckiemu ogromne straty, była niestety niewystarczająca i sporadyczna; ponadto miała ona miejsce właściwie na trzeci dzień, kiedy lotnisko w Malemme zostało już opanowane przez Niemców.

Trudno ustalić w danej chwili powody słabej rozbudowy lotnisk na Krecie, pomimo, że była ona w angielskich rękach ponad 6 miesięcy. Gdy wojska brytyjskie obsadzały Kretę, była ona traktowana jako baza lotnicza. Baza ta, mająca charakter wybitnie ofensywny dawała wielkie możliwości dla użycia lonictwa brytyjskiego przeciwko Włochom w pierwszym rzędzie i Rumunii. Niewątpliwie w ciągu 6 miesięcy przy stanie obecnym techniki, można było zbudować szereg lotnisk.

Niestety, ofensywa lotnicza na Włochy miała o wiele słabsze nasilenie, aniżeli na Niemcy—i to pomimo, że opinia brytyjska domagała się tego energicznie. Przyczyn, jak można wnioskować z debaty w Parlamencie, należało by raczej doszukiwać się na odcinku brytyjskiej polityki zagranicznej. Pewne przesłanki polityczne w swoim czasie wywarły swój wpływ na rozwój sytuacji strategicznej.

Jak wynika z jednogłośnej opinii brytyjskich ekspertów wojskowych brak lotnisk, na których można by było pomieścić samoloty myśliwskie był głównym powodem porażki na Krecie oraz ciężkich strat wojsk brytyjskich, pozbawionych wsparcia lotniczego. W tym punkcie kończy się podobieństwo pomiędzy działaniami na Krecie a warunkami przyszłej próby inwazji W. Brytanii. Wyspy Brytyjskie posiadają bowiem dla swojej obrony samoloty myśliwskie i to w dużo większej ilości, niż w roku zeszłym. Na terenie W. Brytanii istnieją, jak wykazały doświadczenia zeszłorocznej bitwy powietrznej liczne lotniska, zorganizowane w cały system sieci, tak że nawet w razie zniszczenia jednego z lotnisk samoloty myśliwskie mogą lądować na całym szeregu innych.

Drugą niezmiernie ważną różnicą jest brak w składzie wojsk gen. Freyberga na Krecie broni pancernej, względnie bardzo mała ilość czołgów, które na tym trudnym, górzystym terenie nie miały zresztą wiele możliwości. Wręcz przeciwnie —obrona Wysp Brytyjskich opiera się właśnie na zasadzie użycia ruchomych odwodów pancerno-motorowych na punkty zagrożone. Ta niezmiernie słuszna zasada obrony ruchomej, tak daleka od biernej statyki linii Maginota, ma na celu likwidowanie w zarodku narastających koncentracji nieprzyjaciela, który dostał się na teren W. Brytanii drogą powietrzną lub morską.

Koordynacja tych dwóch czynników, których tak właśnie brakowało na Krecie: użycie silnego lotnictwa myśliwskiego oraz ruchomych odwodów pancernych—stawia widoki powodzenia inwazji niemieckiej na W. Brytanję pod znakiem zapytania.

Inwazja Krety dała ponadto cały szereg nowych doświadczeń taktycznych, jeżeli idzie o nowe metody niemieckie oraz o wnioski w dziedzinie obrony: wykazała ona, że spadochroniarze mogą lądować nie tylko na równinie, ale na stromych zboczach gór oraz w zaroślach; fakt ten powinien niewątpliwie zainteresować oddziały brytyjskie odpowiedzialne za obronę północno-wschodnich i zachodnich, dość pustynnych gór Szkocji. Wykazała ona ponadto dużą przydatność szybowców. Jak zauważa znany dziennikarz angielski Gordon, w "Sunday Express," niektóre koła angielskie zapatrywały się do niedawna niezmiernie sceptycznie na możliwość użycia szybowców w w warunkach wojennych. . . . Być może, że ostatnie doświadczenia z Krety przekonają najbardziej zatwardziałych sceptyków o pewnych wartościach szybowca; należy dodać, że w razie zainteresowania się czynników brytyjskich tym nieznanym przez nich sprzętem, szereg polskich pilotów szybowcowych, znajdujących się w naszych szeregach może oddać naszym sprzymierzeńcom poważne usługi.

Również cenne są doświadczenia z kampanii na Krecie w dziedzinie obrony: a mianowicie obrony lotnisk, które były i oczywiście bedą pierwszym celem w działaniach nieprzyjacielskiego desantu lotniczego. W prasie angielskiej ukazały się w związku z tą sprawą głosy niektórych pisarzy wojskowych, nawołujące do utworzenia specjalnych formacji do obrony lotniska a posiadających nawet w swoim wyposażeniu ciężkie czołgi celem natychmiastowego paraliżowania spadochroniarzy. Niektórzy pisarze przy omawianiu tej sprawy domagają się uprzedniego minowania ważniejszych lotnisk celem wysadzenia ich w powietrze, gdyby wpadły w ręce nieprzyjaciela. Niewątpliwie doświadczenia powyższe będą uwzględnione w ciągłych ćwiczeniach i manewrach prowadzonych na przypadek inwazji.

Jakkolwiek bolesną jest strata Krety, wykazała ona raz jeszcze niezwykłe walory bojowe i moralne wojsk brytyjskich, które pomimo miażdżącej przewagi lotnictwa niemieckiego, potrafiły wbrew przewidywaniom niemieckim, bronić się tak długo, zadając Niemcom poważne straty.

Jeżeli weźmiemy pod uwagę obecny stan przygotowań obronnych W. Brytanii, siłę jej lotnictwa myśliwskiego, nie mówiąc już o flocie wojennej, która panuje nadal na morzu, to, chociaż to może brzmieć paradoksalnie, doświadczenia z Krety winny nas natchnąć pewnym optymizmem przy rozważaniu zagadnień niemieckiej inwazji na Wielką Brytanię.

Eugeniusz Hinterhoff

Szkic sytuacyjny

KRETA I CO DALEJ?

Ciężkie walki na Krecie należą do przeszłości. Żołnierz brytyjski dał jeszcze raz pokaz swojego hartu. Uległ raz jeszcze przewadze maszyny, która w tej wojnie ma więcej do powiedzenia, niż się to zdawało. Uległ zaskoczeniu, które zdołał nieprzyjaciel zorganizować tak szybko na lądzie Grecji; najwidoczniej Niemcom się śpieszy.

Jakie będą dalsze posunięcia Rzeszy? Logika mówi, że uderzenie niemieckie winno pójść na Syrię. Syria to bowiem punkt osobliwy, który trzyma w szachu trzy obiekty: Turcję, Palestynę i Irak. Przez pochwycenie Syrii Rzesza dokonałaby zupełnego niemal okrążenia Turcji, poważnego oskrzydlenia Palestyny, zagrożenia Iraku, gdzie wygasł bunt nasłanego przez Niemcy buntownika.

Syria nie jest posiadłością francuską, tylko mandatem, którego Francja nie chciała zrzec się w terminie /termin ten przypadł w r. 1939/. Zasadniczo biorąc Anglia powinna uderzyć szybko na Syrię i powtórzyć manewr z Iraku. Czas nagli. Nawet jeżeli "wolni Francuzi", którzy czekają na granicy Syrii nie są liczni, to lepiej działać teraz, gdy Niemcy nie posiadają jeszcze pewnego uchwytu w Syrii. Lepiej walczyć dzisiaj przeciwko wojskom rządu Vichy i rozproszonym Niemcom, aniżeli potem przeciwko zorganizowanej, zebranej *Luftwaffe.*

LOSY CYPRU

Niewiadomo, czy Rzesza pójdzie na szturmowanie Cypru czy też raczej będzie nękała go, jak nęka Maltę. Cypr jest kąskiem łakomym, ale nie jest koniecznością strategiczną. Z Krety można dokonać ataków powietrznych na Aleksandrię, Suez; Anglicy napewno liczą się z tym i dlatego skupili poważne siły powietrzne właśnie dla obrony Egiptu.

Zapowiada się akcja na wielką skalę, gdzie lotnictwo usiłowało będzie następować na pięty flocie brytyjskiej. Uderzenie niemieckie na Gibraltar—nie jako szturm na tzw. Skałę, ale jako bombardowanie portu z bateryj w Algeciras oraz Ceuty—jest rzeczą możliwą. Idea jest nienowa: zaczopować flotę brytyjską na Morzu Śródziemnym.

AMERYKA ZBLIŻA SIĘ DO WOJNY

Stany Zjd. robią wszystko, ażeby wzmocnić swoje pogotowie wojenne. Lotnictwo amerykańskie posiada dzisiaj już efektywy niezłe, flota winduje szybko zastępy swoich jednostek bojowych, armia liczy 1,500,000 żołnierza. Za rok Stany Zjd. będą posiadać trzykrotnie większe lotnictwo, kilkadziesiąt nowych jednostek wielkiego tonażu i setki małego (Stany Zjd. rozumieją znaczenie niewielkich jednostek w tej wojnie: jednostka o małym tonażu łatwiej manewruje w obliczu samolotu i łodzi podwodnej trudniej taką jednostkę trafić bombą czy torpedą).

Do przyszłej wiosny Stany Zjd. będą uzbrojone dobrze. To co potrafią oddać "na odstrzał" dla Anglii przedstawiać się będzie napewno poważnie. Potrzeba będzie jednak już nie tylko sprzętu amerykańskiego, ale także i pilotów amerykańskich, ażeby ani na chwilę nie osłabła struga dopływu pilotów do R.A.F.

Trudno przewidzieć, kiedy Stany Zjd. wejdą do wojny. Może się to stać szybciej, aniżeli sądzimy —przez jakiś przypadek, nadmiar buty niemieckiej. Zasadniczo biorąc, do jesieni 1941 U.S.A. winny być w wojnie. Należy sobie tego życzyć ze wszystkich miar. Państwo demokratyczne w wojnie wykazuje inne tempo produkcji i ten chociaż by wzgląd winien przeważyć w dyskusjach czy jest wskazane, by Ameryka weszła do wojny.

PONURE TARGI

Moskwa targuje się bodaj dalej z Berlinem co mogło by należeć do niej; uprawia imperjalizm szakala, żywienia się ochłapami stołu Hitlera. Jest to widowisko smutne i przygnębiające. Ale najwidoczniej Moskwa wie, że nie może sobie pozwolić na inną politykę. "Hitler wie, że maszyna militarna Rosji nie jest mocna — powiedział niedawno '*Evening Standard*'—a Stalin wie, że Hitler to wie."

Turcja okrążana jest co raz bardziej. Rosja ostrzy już swój kozik. Chce zadać Turcji ostateczny cios. Turcja jednak stara się sobie zaskarbić łaski niemieckie. Przepuszcza statki niemieckie przez Cieśniny w nadziei, że Rzesza osłoni Turcję. Zdaje się, że te rachuby są mylne.

IRAK OCZYSZCZONY

Samozwaniec z Iraku uciekł do szacha Persji ze swoim szefem sztabu. Irak kończy karierę buntowniczą. Anglicy muszą tam śpieszyć się z przygotowaniem baz na ewentualność syryjską. Zaplecze jakie mają w Iraku: Bassora, Ocean indyjski to atuty poważne. Muszą one zagrać w wielkiej bitwie o Bliski Wschód.

Bitwa ta zajmie zapewne miesiące tego lata. Ale nie znaczy to jeszcze, ażeby zapomniano o brzegach Anglii. Możliwość próby najazdu na brzegi W. Brytanii dyskutuje się co raz szerzej po przeprawach na Krecie.

Londyn, 4 czerwca 1941.

ATAK NA SYRIĘ ROZPOCZĘTY

Nie od dzisiaj było rzeczą oczywistą, że Anglia nie będzie mogła patrzeć spokojnie na postępujące przeciekanie Niemców do Syrii, którzy zjawiają się tam w rozmaitych znanych już strojach i postaciach tzw. turystów, techników i doradców. Nowością maskarady niemieckiej na Syrię jest pono pojawienie się Niemców z paszportami żydowskimi (?), a nawet opaskami z literą "J" (Jude).

Niespełna rok temu rząd brytyjski oświadczył, że nie pogodzi się ze zmianami w Syrii. Oświadczenie to jest dzisiaj w pełni aktualne i stanowi podstawę rozpoczętej akcji angielskiej w stosunku do tego kraju. Obok wojsk brytyjskich, które lądowały od strony morza, a równocześnie atakują od strony lądu, walczą oddziały wolnych Francuzów.

Niewiadomo, czy Francuzi z pod znaku Vichy, którzy stacjonowani są w Syrii, będą walczyć jak należy, czy też będą tylko walkę taką "markować." W chwili, gdy piszemy te końcowe uwagi nie mamy jeszcze w rękach wiarygodnych doniesień, które by rzucały światło na cały teatr syryjskiej wojny. Wydaje się że Francuzi z pod znaku Vichy nie mają nadmiernej ochoty do walki z Anglikami i że przez nadmiar uprzejmości gotowi są bodaj powiedzieć do Niemców: "*après vous, messieurs.*"

Niemcom nie trzeba będzie chyba powtarzać dwa razy tej zachęty. Wiedzą oni jaki kąsek stanowi Syria i że jest to niejako klucz Bliskiego Wschodu, którym to kluczem otworzyć można od razu czworo drzwi: Turcję, Irak, Palestynę i Suez. Przypuszczać wolno, że Niemcy uznają uderzenie na Syrię za hasło do zmuszenia Turcji do jeszcze bardziej wygórowanych świadczeń, a równocześnie przedstawią rachunek Darlanowi. Flota francuska gotowa przejść do akcji, ale niewiadomo czy siłami Francuzów, czy raczej metodą, że tak powiemy, włoską a więc z częściowymi obsadami i załogami niemieckimi na pokładach jednostek bojowych.

Sytuacja jest niewątpliwie delikatna, a dni najbliższe przyniosą pociągnięcia wcale gwałtowne. Niemieckie aparaty bombardują już Aleksandrię z baz kreteńskich, a uderzenie na Maltę jest możliwością, z którą eksperci angielscy się liczą. Wyspa ta jest wielkości Isle of Wight u brzegów Anglii i nie może pomieścić sporej ilości pościgowców. Niemcy zechcą pomścić porażkę w Iraku, gdzie ich pupil przerachował się mocno co do waleczności własnych oddziałów oraz nie docenił siły armii brytyjskiej. Skoro nie udało się uderzenie od wewnątrz przy pomocy zdrady, Rzesza próbuje uderzenia przez Syrię.

Morze Śródziemne rozpala się na dobre pożarem wojny, przy czym Rzesza, słabo tylko posiłkowana przez Włochy zredukowane do roli ciurów, stara się przeciwstawić potędze morskiej i powietrznej Anglii potęgę powietrzną i lądową. Wynik tego zmagania będzie bardzo doniosły.

Londyn, dnia 9 czerwca 1941.

Zbigniew Grabowski

Wydany został wraz z objaśnieniami

NOWY TESTAMENT

z przedmową J. Ex. Biskupa Wojsk Polskich J. Gawliny.

Jest to dziś najbardziej potrzebna książka dla Polaków, a zarazem będzie to kiedyś najpiękniejsza pamiątka.

Zamawiajcie wprost w Firmie F. Mildner & Sons, Clerkenwell Road, London, E.C.1, opłacając należność z góry. Cena wynosi:

7/6 za egzemplarz oprawny w skórę — 4/6 za egzemplarz oprawny w płótno

Cena w księgarniach: 7 i 10 szylingów.

Wojna na morzu

"Było to dzieło trudne, krwawe, prawie nie do wykonania, niewdzięczne, a przecież konieczne." Tak określa pracę floty brytyjskiej, podczas ewakuacji Krety i podczas obrony Krety, jeden z korespondentów dziennika amerykańskiego. Pozbawiona dostatecznej osłony lotniczej, nieustannie bombardowana z powietrza, ponosząc straty, upadając ze znużenia, walcząc i czuwając, wypatrując i pracując, pracując i walcząc, flota Morza Śródziemnego spełniła swój obowiązek do ostatka. Niemcy nie zdołali dosłać podczas walki na Krecie ani jednego człowieka morzem, a gdy nadeszło to najgorsze: ewakuacja wojska, Royal Navy wypełniła zadanie świetnie. Tylko dzięki marynarce wojennej pewna część wojska została uratowana i tylko dzięki jej poświęceniu cała operacja była możliwa. To w tej nadzwyczaj niewdzięcznej akcji, koniecznej, a tak nierównej poniosła Flota Brytyjska znaczne, chociaż stosunkowo niewygórowane straty. /3 krążowniki i 4 kontrtorpedowce/

Z wypadków wokół Krety można i powinno się wyciągnąć wiele wniosków i nauk, potwierdzanych zresztą przez inne tereny walk morskich. Na wielkich przestrzeniach morskich jest i pozostał okręt czynnikiem decydującym, ale, pozbawiony wsparcia z powietrza i pomocy lotniczej, ponosi zbyt wielkie straty w stosunku do wykonywanego zadania. Tak samo, jak na lądzie dzięki lotnictwu taktyka zmieniła się zasadniczo, tak samo na morzu taktyka działania i nawet taktyka poruszeń, nie mówiąc już o założeniach operacyjnych, muszą być poddane rewizji, muszą się dostosować do zmienionych sposobów walki i muszą uwzględnić w stopniu większym, niż to uczyniono dotychczas, niebezpieczeństwo zetknięcia się sam na sam z potężnym lotnictwem, jak to się działo u brzegów Krety. Na otwartych przestrzeniach oceanu ta przemiana już się dokonała o tyle, że nie tylko każdy większy okręt ma swoje własne samoloty, ale Wielka Brytania, Stany Zjednoczone i Japonia budują lotniskowce, których istnienie umożliwiło Anglikom dokonanie tak świetnych operacji, jak Toronto, bitwą pod Matapan i wreszcie wyśledzenie "Bismarcka." W walkach na wodach międzylądowych i w walkach niedaleko wybrzeży lotnictwo musi być na tyle równych sił, by mogło się równoważyć w powietrzu, tak, jak do stoczenia boju na morzu teoretycznie jest konieczna równowaga (czy przewaga) okrętów. Druzgocąca przewaga lotnicza przeciwnika, jak dotąd, nie unicestwia floty, ale zadaje jej nieopłacalnie duże straty i krępuje jej zdolności operacyjne. Wziąwszy więc to wszystko pod uwagę, dochodzi się do wniosku:

Lotnictwo przeobraża taktykę, a zaniedbanie, czy brak współdziałania z powietrzem może się stać katastrofą. Na otwartym morzu konieczne jest jak najliczniejsze lotnictwo morskie, na morzach śródlądowych koordynacja pracy marynarki z lotnictwem morskim i lądowym jest warunkiem powodzenia lub przegranej.

Sądzę jednak, że wnioski, głoszone tu i ówdzie, że w niedalekiej przyszłości potęgi światowe przejdą na budowę wyłącznie małych okrętów, a budowa wielkich okrętów liniowych będzie zaniechana są grubo przedwczesne i niesłuszne przy obecnym stanie techniki lotniczej. Stać się to może dopiero wówczas, gdy zaczniemy budować "krążowniki i pancerniki" powietrzne o promieniu działania dorównującym okrętom. Pomimo wspaniałego rozwoju techniki lotniczej jest to jeszcze muzyka przyszłości bardzo odległej. W obecnej sytuacji jednak tylko posiadanie olbrzymów morskich umożliwia Wielkiej Brytanii władztwo nad ¼ kuli ziemskiej, blokuje Niemców na kontynencie europejskim i wreszcie pozwala na likwidowanie nawet takich "wyskoków," jak ryzykowna wyprawa "największego i najpotężniejszego okrętu liniowego świata, okrętu nie do zatopienia" —"Bismarcka".

I w tej fantastyczniej bitwie morskiej lotnictwo morskie właśnie odegrało rolę jaką pełnić będzie w przyszłych bitwach morskich w co raz większym stopniu.

Przede wszystkim więc zwiad. Samoloty brytyjskiego Dowództwa Obrony Wybrzeży doniosły, że "Bismarck," w towarzystwie nowego, wykończonego w tym roku krążownika (10,000 tonn) "Prinz Eugen," opuścił jeden z portów Norwegii i płynie w kierunku na Islandię. Ta wiadomość pozwoliła rozesłać "wici" radiowe po całym oceanie. Pierwsze dopadły niemieckich olbrzymów krążowniki brytyjskie H.M.S. "Norfolk" i H.M.S. "Suffolk." Ale oba te krążowniki były o wiele za małe i za słabe, aby nawiązać walkę z "Bismarckiem."

To też słusznie Admirał Wake Walker, którego okrętem flagowym był "Norfolk," przeznaczył swoim okrętom rolę "ogarów tropiących niedźwiedzia" i idących za nim trop w trop z głośnym ujadaniem, przywołujących myśliwych. Sygnały radiowe szły na południe i na północ, na wschód i zachód. Trop w trop za "niedźwiedziem," który napróżno kluczył i starał się schować w gęstwę mgły deszczów i nocy, szły oba "ogary" w przyzwoitej odległości, aby nie oberwać za bardzo.

Wreszcie w przesmyku Duńskim, między Islandią i Grenlandią pojawili się i myśliwi: H.M.S. "Hood" i H.M.S. "Prince of Wales." Z punktu te okręty nawiązały walkę, bijąc z dział z dużej odległości. To pierwsze spotkanie jednak nie było szczęśliwe. Z odległości 23,000 yardów salwa 15 calowych pocisków "Bismarcka" trafia H.M.S. "Hood'a" w komory amunicyjne i ten największy okręt liniowy świata wylatuje w powietrze. Z załogi liczącej 1,341 ludzi wyratowało się tylko . . . 3.

Ale "Prince of Wales" nie zaprzestaje ognia i pociski jego dosięgają przeciwnika, który, pomimo chwilowego triumfu, rejteruje nadal. Korzystając z deszczowej i mglistej nocy udaje się zmylić pogoń i uciec w niewiadomym kierunku towarzyszowi "Bismarcka" krążownikowi "Prinz Eugen." W samą porę dla niego, bo oto zbliżają się nowi myśliwcy.

"Bismarcka," który mógł już w ciągu tej nocy mieć złudzenie bezpieczeństwa (na oceanie można się lepiej schować, niż w lesie), znalazł znowu samolot Dowództwa Obrony Wybrzeży i podał kierunek brytyjskim okrętom, płynącym ze wszystkich stron. Samoloty lotniskowca H.M.S. "Victorious" umiejscowiły go jeszcze dokładniej. H.M.S. "Rodney" płynął o dwa węzły prędzej, niż jest w możności wyciągnąć," jak opowiadał jeden z oficerów; H.M.S. "King George V" z admirałem Tovey na pokładzie wyprzedzał go, a z innej strony zbliżał się ze swymi samolotami słynny lotniskowiec H.M.S. "Ark Royal." Jego to aeroplany torpedowe rozpoczęły nowy atak ("Bismarck" znajdował się już na południo-południowym zachodzie Irlandii) i wpakowały w okręt swoje "cygara," uszkadzając go tak poważnie, że zmniejszył szybkość i zaczął mniej pewnie sterować. Ale jego działa strzelały nadal precyzyjnie i ostro do kontrtorpedowców, które całą "sforą" pojawiły się naokoło wraz z krążownikami. Otoczyły olbrzyma i czekały sposobności.

Taka sposobność wnet nadeszła z zapadającym zmrokiem drugiego wieczoru od chwili rozpoczęcia bitwy. Trzy torpedy z wyrzutni kontrtorpedowców trafiają Niemca, jeszcze bardziej unieruchamiając olbrzyma i redukując jego szybkość do 12,14 węzłów. Teraz już cała Flota wie napewno, że "niedźwiedź" nie ujdzie. Niemcy jednak, co przyznać należy, walczą dzielnie i desperacko i, gdy H.M.S. "Rodney," H.M.S. "King George V," oraz krążowniki otwierają rankiem dnia 27 maja 1941 r. silny ogień ze swych 16 calowych ("Rodney") i 14 calowych dalekonośnych ("King George V") dział odpowiadają dotąd dopóki pociski brytyjskich olbrzymów nie zdruzgotały centrali ognia i nie porozbijały wież artyleryjskich jedna po drugiej.

"Serce bolało każdego prawdziwego marynarza, gdy trzeba było taki piękny, najbardziej nowoczesny na świecie, okręt zamieniać na kupę pokręconego i palącego się żelaziwa" — opowiada jeden z oficerów "King George V."—gdy wreszcie Admirał zdecydował zakończyć sprawę i wydał rozkaz krążownikowi H.M.S. "Dorsetshire," by ten wypuścił ostatnie torpedy na "Bismarcka."

"Bismarck" miał na pokładzie z górą 2,000 ludzi załogi, w tym 500 kadetów oficerskiej szkoły morskiej. Tylko 83 marynarzy wyłowiono z morza.

Jak więc widzimy z przebiegu wydarzeń i w tej bitwie lotnictwo morskie odegrało niesłychanie ważną rolę, choć nie decydującą. Bez lotnictwa byłoby wprawdzie niepodobieństwem wyśledzić okręt tej szybkości co "Bismarck" na niezmiernych przestrzeniach oceanu, ale bez wielkich okrętów bojowych, krążowników i kontrtorpedowców nie byłoby możliwe jego pokonanie. Zresztą Niemcy, wysyłając swój najwspanialszy okręt na Atlantyk i lokując na nim kwiat swojej młodzieży morskiej byli pewni "bezkarności," lekceważyli sobie siły morskie brytyjskie, jako "nieruchliwe."

Cała flota Wielkiej Brytanii dowiodła i w tym działaniu i w niewdzięcznej operacji kreteńskiej że jest niezrównana i do tego stopnia potężna, że strata okrętu liniowego, 3 krążowników i 7 kontrtorpedowców (razem z jednym, który zginął na Atlantyku po bitwie z "Bismarckiem" i 2, które zatonęły u wybrzeży samej Grecji) nie jest stratą o charakterze zasadniczym i w małym stopniu tylko pomniejsza jej potęgę. Zresztą stocznie całego Imperium pracują bez wytchnienia.

Natomiast strata "Bismarcka" i unieruchomienie "Gneisenau" i "Scharnhorst" przekreślają Niemcom na razie całą akcję bojową nadwodną, dalekomorską, ograniczając ich działanie do małej piraterii, z którą flota Wielkiej Brytanii mocuje się. To starcie jest już popularne pod nazwą "Bitwy o Atlantyk." W tej bitwie musi powiedzieć jednak ostatnie słowo Ameryka.

Londyn 7. czerwca 1941 r.

* * *

W ostatniej chwili otrzymałem z Kierownictwa Marynarki Wojennej następującą wzmiankę, która pomimo suchej formy, dobitnie świadczy o duchu, jaki ożywia naszą Marynarkę Wojenną:

Na pokładzie okrętu liniowego H.M.S. Hood zginęli śmiercią marynarzy 4 podchorążowie polscy odbywający praktykę po ukończeniu Szkoły Podchorążych Marynarki Wojennej.

Podchorążowie ci wyszli z kursu, który rozpoczął nauki jeszcze w Polsce, a wojna zaskoczyła ich, gdy byli w podróży ćwiczebnej na O.R.P. "Iskra," pływając na Morzu Śródziemnym. Podchorążowie zostali wysłani wówczas do Anglii, gdzie ukończyli nauki, pomimo dotkliwego braku podręczników polskich i profesorów. Po wyjściu ze szkoły poprzydzielani zostali na okręty brytyjskie dla odbycia praktyki i stage 'u przed ewentualną nominacją na podporuczników marynarki. Jak zgodnie raportują dowódcy okrętów brytyjskich polscy podchorążowie zyskali sobie powszechną sympatię i uznanie. . . . Czterech z nich odbywało praktykę na H.M.S. Hood. Cześć ich pamięci!

Obecnie również Admiralicja Brytyjska ujawniła udział, i to bardzo chlubny udział polskiego kontrtorpedowca "Piorun," w zwalczaniu niemieckiego pancernika "Bismarck." Oto komunikat Admiralicji:

"O.R.P. Piorun był przydzielony do sił morskich, dowodzonych przez Komandora P. L. Vian, D.S.O., R.N., "Piorun pierwszy z pośród eskadry kontrtorpedowców spostrzegł "Bismarcka" zaraz po g.10.30 wieczorem dnia 26.maja.

O.R.P. "Piorun" natychmiast po zauważeniu nieprzyjaciela nawiązał z nim kontakt i zbliżył się do niego pod silnym ogniem jego ciężkiej i średniej artylerii. Dzięki zygzakowaniu i dzięki szczęśliwym manewrom dowódcy, O.R.P. "Piorun" nie poniósł żadnych strat, ani nie doznał żadnych uszkodzeń. Natomiast sam "Piorun" otworzył ogień na nieprzyjaciela z największą energią.

Następujący sygnał został podany przez Komandora Vian do "Pioruna": "Winszuję. Byliście pierwszym okrętem naszych sił morskich, który spostrzegł nieprzyjaciela. Mam nadzieję, że "Piorun" będzie ze mną następnym razem. Rozpoczynam działanie."

Dowódca "Pioruna" odpowiedział:

"Jesteśmy dumni będąc razem z Wami. Będzie też największym zaszczytem dla nas jeśli w przyszłości znajdziemy się pod pana dowództwem przeciw 'Tirpitzowi.'"

Londyn 9 czerwca 1941 r.

Bohdan Pawłowicz

NORTON & SONS
TAILORS
MILITARY AND CIVIL
BY SPECIAL APPOINTMENT
COURT CIVIL & DIPLOMATIC
20, CONDUIT STREET,
BOND STREET, W.1 Established 1821

POLSKI KRAWIEC
wykonuje ubrania cywilne i mundury wojskowe oraz damskie kostiumy po cenach umiarkowanych. Poprawki i przeróbki. Specjalista w cerowaniu bez śladu wypalonych dziur i rozdarcia materiału.
M. FOX, 31a, Buckingham Palace Road, S.W.1, Wejście obok Hotelu Rubens.
Tel.: VICtoria 8241.

LEINSTER HOUSE HOTEL
45 i 46 Leinster Gardens, W.2
Tel.: PAD 7278
Wszystkie pokoje z ciepłą i zimną wodą. Pokój ze śniadaniem i kąpielą od £2.- tygodn. lub dziennie od 6/6. Dogodne warunki przy całodziennym utrzymaniu. Przyjemne otoczenie — życzliwa atmosfera. Kierownictwo szwajcarskie.

ANDREW CARMICHAEL
Krawiec wojskowy dla Oficerów Polskich
61, Conduit St., Bond Street, London, W.1.

PROSZKI od BÓLU GŁOWY
na wzór znanych w Polsce
PROSZKÓW Z KOGUTKIEM
NIEZASTĄPIONY ŚRODEK PRZECIWKO BÓLOWI ZĘBÓW
PRZEZIĘBIENIOM, GRYPIE,
Prosimy o zwracanie się do Składów Aptecznych (Chemist), pokazując dla ułatwienia tekst angielski tego ogłoszenia; w ten sposób wszelkie trudności związane z zamówieniem i sprowadzeniem naszych proszków będą usunięte.
KUPON.
Imię i nazwisko ....
Dokładny adres ....
To CHEMISTS, DRUGGISTS, etc.
The headache powders advertised here are very popular with the Poles.
We can supply you in boxes of 120 powders made up as follows: 16 packets of 7 powders selling at 1/3 per packet and 8 single powders at 3d. each. If you display these powders they will sell. Please write to Polish Daily, Advertisement Offices, 44, Brook Street, London, W.1, for trade terms.
W celu otrzymania 10 proszków należy wysłać niniejszy kupon wraz z postal order na 2/6 pod adresem administracji 44, Brook Str., London, W.1.

CLIFTON HOTEL
47a, Welbeck Street, W.1
Telefon: WELbeck 6881.
Pokój ze śniadaniem i kąpielą od £2.2.0 tygodniowo albo od 7/6 dziennie
Punkt zborny dla Polaków z prowincji

PRUNIER
72 St. James's St., London, S.W.1. Reg. 1373



Air Raid Lunch 8/6
Blackout Dinner 10/6
4 dania łącznie z ostrygami, lub á la carte
POTRAWY OD PRUNIER'A U SIEBIE W DOMU:
Bouillabaisse — 1 porcja 5/- ; 3 porcje 15/-
Homar po Amerykańsku — 2 porcje 15/- ; 5 porcje 37/6
Paté de lapereau — 4 porcje 8/6

SPIS RZECZY

WYDAJE BIURO PROPAGANDY I OŚWIATY
Adres Redakcji (Editorial Offices): 5, Portugal St., W.C.2. Tel., HOLborn 7600. V-e piętro.
Redaktor przymuje w soboty od godziny 11-ej-13-ej.
Przedruk dozwolony tylko za podaniem źródła.

Warunki prenumeraty: Miesięcznie z przesyłką pocztową—sh. 1. Kwartalnie z przesyłką pocztową—sh. 3. Należność prosimy wpłacać przekazem pocztowym (Postal Order) pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam —sh.15 0d. bez względu na stronę, drobne ogłoszenia—sh.6 0d. za 1 cal. Ogłoszenia o poszukiwaniu pracy i osób 50% taniej.
Adres Administracji (Business Offices): 63, Lincoln's Inn Fields, W.C.2. Tel., Chancery 5505 i 5506. Adres Agenta dla ogłoszeń angielskich (Advertisement Offices) 415, Oxford Street, W.1. Tel., MAYfair 4973.

Printed for the "Polska Walcząca" by St. Clements Press (1940), Ltd., Portugal St., Strand, W.C.2.